MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 43. WARSZAWA, 6 WRZEŚNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

O NASZYM INDYWIDUALIŹMIE

I

BARDZO często słychać zdanie, że my Polacy cierpimy na nadmiar indywidualizmu. Uogólnienia tego rodzaju są nader zawodne choćby dlatego, że niezawsze opierają się na jasnem i ścisłem pojęciu „indywidualizmu"; u różnych ludzi mają one różny zakres. By uniknąć nieporozumień, trzeba wpierw ustalić punkt wyjścia.

Jest nim przeciwstawienie jednostki społeczeństwu. Wszelki związek społeczny istnieje i rozwija się dzięki dyscyplinie, którą nakłada na swoich członków. Przepisuje ona sposób ich postępowania, pewne normy, gwarantowane przez różne sankcje; albo to będą sankcje czysto moralne lub polityczne, albo też sankcje karne. Jeżeli członkowie związku wyłamują się z pod tych norm, jeżeli nie chcą się im poddać, a chcą żyć w świecie dawnych pojęć i obyczajów, wtedy mówi się o dążnościach indywidualistycznych. Wtedy słabe jest życie zbiorowe społeczności, zwęża się zakres i siła pierwiastków, składających się na społeczną dyscyplinę.

Wynika z tego, że wówczas tylko zjawia się „indywidualizm" we właściwem znaczeniu, gdy jednostka bezpośrednio, aktywnie wyłamuje się z pod tej społecznej dyscypliny. Bierność, niechęć lub niezdolność do życia zbiorowego, nie jest jeszcze wyrazem dążeń indywidualistycznych. Można za nie uważać taki wypadek, że jednostka przeciwstawia się czynnie ustalonym pojęciom lub instytucjom; jeżeli zaś odnosi się do nich niechętnie, nie jest to jeszcze objawem indywidualizmu. Gdy jednostki składające się na społeczeństwo pędzą żywot senny, nie uczestniczą w życiu zbiorowem, nie poczuwają się do obowiązków społecznych nie będzie to objawem przerostu indywidualizmu.

Indywidualizm jest wyłamywaniem się z pod jednostajności i wspólności, którą wprowadza dana grupa społeczna. W społeczeństwie żyją obok siebie, przenikają się, nieraz walczą z sobą różne grupy społeczne. Przeciwstawiają się sobie solidarności miasta, dzielnicy, zawodu, klasy społecznej, solidarność narodu i różne inne. Organizacja społeczna zasadza się na hierarchji tych grup, na tem, że jedna z nich ma przewagę nad innemi i niepozwala na zbytni rozwój dążności odśrodkowych. I czasami wyłamywanie się np. zawodu lub członków jakiegoś związku religijnego z pod wspólności z innemi grupami uważa się za objaw indywidualizmu. Pogląd ten jest niesłuszny. W tych wypadkach nie przeciwstawia się jednostka grupie społecznej, lecz różne grupy społeczne są w konflikcie.

O rozwoju indywidualizmu można mówić wtedy, gdy w życiu narodu stosunkowo wielkie znaczenie odgrywa jednostka, jej inicjatywa, jej upodobania i interesy, gdy sfera jej wolności jest bardzo wielka. Społeczeństwo zaś, które żyje przedewszystkiem zbiorowem życiem, w którem pierwiastki wspólności górują nad indywidualnemi różnicami, nie będzie miało charakteru indywidualistycznego. Otóż jest jasnem, że rozwój duchowy i materjalny społeczeństwa zasadza się na równowadze obydwu tych pierwiastków. Społeczeństwo,

w którem nie ma miejsca dla silnych indywidualności, będzie społeczeństwem skostniałem, niezmiennem, będzie całe wieki tkwiło w zastoju. A zaś społeczeństwo, w którem indywidualizm jednostek nie znajduje hamulców, w którem każdy żyje jak chce i robi co chce, będzie w stanie ciągłego fermentu i chaosu. Społeczeństwo to, mając zbyt szczupły majątek wspólnych idei moralnych, wspólnych wierzeń, zwyczajów i nadziei, stanie się łatwo łupem narodów mniej cywilizowanych, lub zgoła barbarzyńskich, lecz bardziej zwartych i jednolitych; upadek dawnego imperjum rzymskiego jest najlepszą tego ilustracją.

Niema wielkiego sensu, jeżeli się przeciwstawi jednostkę społeczeństwu jako wartości, które się z sobą nie dadzą pogodzić. Przeciwnie, silne społeczeństwo sprzyja najlepiej rozwojowi indywidualności, o ile jest naprawdę silnem. Napoleon Bonaparte był chyba „indywidualistą". Gdyby był pozostał na Korsyce, byłby uprawiał vendettę na rodzie Pozzo di Borgo, bo jego ciaśniejsza ojczyzna nie otwierała pola do innych przejawów indywidualizmu. Przeniósł się do Francji i tam równocześnie ujął naród francuski w szereg mocnych instytucji i wydobył wiele wybitnych indywidualności — poza swoją własną.

Każdy naród na swój sposób musi rozstrzygnąć zagadnienie równowagi między jednolitością społeczną a rozwojem indywidualności, między wewnętrzną hierarchją a wolnością. Nie może, układając stosunek tych dwóch pierwiastków, iść wpoprzek całej swojej psychice, swym tradycjom, przekazanym przez wieki dawniejszego bytu. Może jednak zdobyć się na wysiłek, by jedne pierwiastki wzmacniać a drugie osłabiać, by je inaczej ustawić. Dlatego też naród musi przedewszystkiem — znać samego siebie.

II

My Polacy nie znamy dobrze swojego własnego charakteru. Nic w tem dziwnego, bo najtrudniej jest ocenić objektywnie swoje właściwości, zalety i wady. Pozatem jednak dziedzina psychologji zbiorowej była u nas w wielkiem zaniedbaniu. Przez długi czas pytanie: jaki jest nasz charakter narodowy, uchodziło za „nienaukowe". W tych warunkach krążyło wiele nieprawdziwych uogólnień, przyjmowanych bezkrytycznie, często tem szkodliwszych, że zawierały one w sobie cząstkę prawdy.

Do takich ogólników, niedostatecznie sprawdzonych, należy pogląd, że w polskim charakterze narodowym tkwi nadmiar indywidualimu. Na dowód tego przytacza się przysłowie: „wolno w Polsce jak kto chce" i zapatrywania obcych o polskiej niestałości, o niespokojnym, nieznającym hamulców temperamencie i t. d. Najważniejszy dowód, nasze *„liberum veto"* jest nietyle objawem zapędów indywidualistycznych, lecz wyrazem zatrzymania się rozwoju instytucji parlamentarnych i słabości organizacji państwowej.

Bo dzięki czemu mógł się w dawnej Polsce rozwinąć indywidualizm? Polska nie przeszła przez okres feudalizmu, jak kraje zachodnie. A feudalizm, chociaż był ustrojem nawskroś hierarchicznym, sprzyjał rozkwitowi samodzielności jednostki, jej praw i przywilejów. W Polsce, co ważniejsza, dość wcześnie upadły miasta, straciły swoje prawa, znaczenie polityczne i gospodarcze. A przecież w miejskiem życiu jednostka dochodzi do znaczenia, miasta były zawsze ośrodkiem wszelkich ruchów wolnościowych (*„Stadtluft macht frei"*). A wreszcie Polska odsunęła się od morza, nie robiła dalekich wypraw i kolonjalnych zdobyczy. A nic tak niepotęguje indywidualizmu, nie otwiera tak szerokich horyzontów przed jednostką, przed jej przedsiębiorczością, jak życie na oceanach.

Czyśmy naprawdę cierpieli na nadmiar silnych indywidualności? Czy rządziły nami zawsze potężne nawet bezwzględne jednostki, które umiały swoją wolę narzucić całemu narodowi? Przeciwnie, widzimy u rządzących jeden objaw, który nie dowodzi zbytku indywidualizmu: pogoń za popularnością, niechęć narażenia się „braciom szlachcie", a bardzo często także i zamiłowanie do „świętej zgody", które zostawiało nierozstrzygniętemi wiele zagadnień państwowych. Wykazaliśmy zarazem już po utracie niepodległości, wielką zdolność do działania zbiorowego, wielką siłę narodowej solidarności, choćby w walce naszych ziem zachodnich z niemieckim zalewem. Mało było ludzi, którzy wbrew opinji narodowej chcieli zaznaczać swój „indywidualizm". Czy u nas było więcej wojen domowych, dzielnicowych antagonizmów i t. d., aniżeli w innych krajach? Porównanie historji Polski z historją np. Francji, narodu dzisiaj tak jednolitego, byłoby bardzo interesujące.

Otóż wiele objawów, które uchodzą u nas za dowody polskiego hiperindywidualizmu, należy uważać raczej za bierność, za dowód rozluźnienia się organizacji państwowej, co nie zostało bynajmniej wywołane przez czynne sprzeciwy jednostek, gotowych do walki o swoje indywidualne prawa i przywileje. Słabą była władza wykonawcza, słabą też stała się i władza ustawodawcza, ale nie wynika z tego, by był silnym indywidualizm w ówczesnem społeczeństwie polskiem.

Nadmiar indywidualizmu nie jest i nie był naszą największą wadą narodową. Byliśmy i jesteśmy narodem, który miał co prawda duże zamiłowanie wolności, ale którym można rządzić, byle dobierać narzędzi rządzenia. Zamiłowanie wolności, poczucie godności, która tkwi w człowieku, były to bardzo cenne skarby w dobie niewoli; nie straciły, wbrew pozorom, te pierwiastki swojego znaczenia i w niepodległem życiu narodu.

(Dok. nast.) ROMAN RYBARSKI

U ZRÓDEŁ SIONIZMU

ANDRZEJ Niemojewski nawoływał niegdyś społeczeństwo polskie do studjów „żydoznawczych". Przy swoich zwyczajnych zajęciach natrafiłem przypadkowo na książkę, która jest pierwszorzędnym dokumentem z tego zakresu.

Kto bowiem studjuje literaturę angielską, schodzi czasem na zupełnie nieoczekiwane tory. Dzięki olbrzymiej ekspansji rasy anglosaskiej i pstremu obliczu etnicznemu imperjum, język angielski bywał nieraz instrumentem, na którym wygrywano obce melodje, bywał tylko formą, w którą ludzie innej narodowości i rasy oblekali „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty", obie z ducha i przeznaczone głównie dla własnych rodaków.

Obłożony klątwą bramin wysokiej kasty Rabindranath Tagore malował w angielskich utworach życie indyjskie tak, jak je obserwował z punktu widzenia Hindusa. Ożywiony pragnieniem odbudowania ojczystej kultury i niepodległości Yeats po angielsku skarżył się na krzywdy Irlandji. Po angielsku pisała grupa dramaturgów, kupiąca się około Abbey Theatre w Dublinie z genjalnym Syngiem na czele. Duch tej twórczości jest czysto irlandzki. Angielskiego języka używa też zastęp Żydów, malujących żydowskie życie i głoszących żydowską ideę narodową.

W tym ostatnim wypadku odrębność niezawsze rysuje się tak wyraźnie, jak w innych. Pisarze przeznaczają owe utwory także dla angielskiej publiczności, liczą się z jej każdoczesnemi upodobaniami, ulegają każdoczesnym prądom literackim. O ich zaliczeniu lub niezaliczeniu do grupy żydowskiej musi decydować przewaga tych lub tamtych pierwiastków.

Już u Disraëlego pojawiła się żydowska duma narodowa. Gdy raz jakiś Anglik wypomniał mu pochodzenie, mąż stanu rzucił mu wzgardliwe słowa: „Moi przodkowie byli książętami w Izraelu, gdy wasi biegali z pośladkami pomalowanemi na niebiesko" (miał to być ulubiony kolor celtyckich Brytyjczyków). Tym samym uczuciom dawał nieraz wyraz w swych powieściach. Cieszył się z wszechwładzy żydowskiego kapitału („Conningsby", „Tankred" itd.), miał znamienny sentyment do Palestyny — nawet jako do kolebki chrześcijaństwa — i do Palestyny wyprawił owego młodego lorda, pragnącego stworzyć nową religję, kazał mu tam zakochać się w pięknej, mądrej a narodowo uświadomionej Żydówce i paść jej do nóg ze słowami: „Jestem chrześcijaninem w kraju Chrystusa i klękam przed córą narodu mego Zbawiciela" („Tankred czyli Nowa krucjata").

Mamy tu już wyraźny zalążek sionizmu. Z tem wszystkiem u Disraëlego przeważają znacznie pierwiastki angielskie.

Żydowskim pisarzem natomiast jest bezwątpienia w swym dojrzałym okresie Izrael Zangwill. Jego typowa, samoistna twórczość rozpoczęła się w ostatnim dziesiątku w. XIX, gdy w belletrystyce angielskiej najsilniej działały wpływy francuskie, znajdując wyraz w impresjonizmie, w realizmie, w głoszonem przez Wilde'a i More'a haśle „Sztuka dla sztuki".

Być może, iż Zangwill sięgnął do życia Whitechapel poprostu w pogoni za nieznanem publiczności środowiskiem i nowemi tematami, ale odrazu zaczął traktować je z rasowym sentymentem. Po „Dzieciach Ghetta" (1892) nastąpiły „Tragedje Ghetta" i „Komedje Ghetta". Rozwój talentu Zangwilla szedł równolegle z rozwojem idei sionistycznej, której był on jednym z głównych szermierzy. Hasło „Sztuka dla sztuki" dało mu skłonność do czynienia bohaterami artystów, ale od początku dużo u Zangwilla tendencji, przybywa jej z latami, aż w r. 1898 wychodzą „Marzyciele Ghetta", rodzaj urywkowej historji diaspory od w. XVI, a równocześnie wyznania wiary czy też programu. Jedna z ostatnich nowel mieści impresje z sionistycznego kongresu w Bazylei, w ostatniej autor zabiera głos od siebie. Tę znamienną książkę chcę tu zanalizować szczegółowo.

Sztuka nowelistyczna Zangwilla stoi wysoko. Umie on w kilku czy w kilkunastu zdaniach wprowadzić czytelnika w sytuację, zarysować postać paru rysami i w dalszym ciągu ją cieniować, przemieniając pierwszy szkic w coraz pełniejsze malowidło. Umie wywoływać nastroje, tworzyć sceny efektowne. Ulubionym jego środkiem artystycznym jest człowiekowi żyjącemu jakąś wiarą, jakąś ideą metafizyczną dodać do boku sceptyka i wyzyskiwać przeciwieństwo. Niekiedy popada Zangwill w teatralność. Styl ma barwny, czasami zbyt błyskotliwy.

Nieraz udaje się Zangwillowi ustalić kontakt uczuciony nawet z aryjskim czytelnikiem. Tak jest w noweli o ubogim, ciemnym Żydzie wschodnim, co w bóżnicy manczesterskiej dał się olśnić świetlanym obrazem Palestyny i puścił się w drogę. Znosił bezprzykładne trudy i cierpienia. Trzymała go myśl o Ziemi Obiecanej. Wreszcie, pół żywy ze zmęczenia i z głodu przybił do jej brzegów, aby usłyszeć, że rosyjscy Żydzi, nie mający poddaństwa angielskiego mają wstęp wzbroniony. „Popchnięto Arona do łodzi i bezpiecznie odwieziono na parowiec" kończy sucho i zwięźle, a po reportersku brzmiące zdanie mieści w sobie cały ocean rozczarowania i rozpaczy.

A owo „dziecię Ghetta" z pierwszej noweli, które wzrosło w zachwyceniu obrzędami hebrajskiemi, obrazami wspaniałości Jehowy i szczęścia, oczekującego wiernych! W Dzień Sądny, osłabionemu głodem, każą mu z synagogi wrócić do domu i pokrzepić się. Lecz aby zrównać się z dorosłymi, chłopiec chce przecież wytrwać w poście. Wychodzi więc poza Ghetto weneckie, w nowy świat, pełny cudów. Widzi strojną szlachtę i damy, plac, po którym fruwają gołębie, kościół św. Marka, zachodzi do wnętrza i przez chwilę przygląda się nabożeństwu, słucha spowiedzi. Wraca do synagogi i patrzy na wieczorne obrzędy. Ale już „weszło w jego życie coś większego, jakieś poczucie rozleglejszego wszechświata nazewnątrz, a jego bezmierny przestwór i cudowność napełniły mu duszę bezimienną rozterką i nieokreślonym niepokojem. Już nie był dziecięciem Ghetta".

W toku dwudziestu paru nowel, składających sie na „Marzycieli Ghetta", spotykamy się z kilku postaciami Żydów, którzy zapisali się w dziejach, nauce lub literaturze Europy. Tak np. wplecione są dumania nad grobowcem Disraëlego w anglikańskim kościele. Najczęściej jednak słyszymy tych sławnych ludzi rozmawiających. Patrzymy na zawód miłosny Spinozy, odwiedzamy berliński salon Mendelsohna (filozofa, nie muzyka), stajemy nad śmiertelnem łożem Heinego, jesteśmy świad-

kami romansu i fatalnego pojedynku Lassalle'a. Znany niemiecki anglista Bernard Fehr porównywał nawet „Marzycieli Ghetta“ z „Urojonemi rozmowami“ Savage'a Landora — mojem zdaniem zupełnie błędnie. Punkt ciężkości książki jest nie tam, gdzie autor czerpał z pism powszechnie znanych, lecz tam, gdzie bądź to opracowywał nieprzystępne aryjczykowi źródła żydowskie, bądź użytkował wyniki własnej obserwacji. O Heinem, o Spinozie najlepiej zasięgać informacyj u nich samych. Naśladowanie sposobu myślenia i stylu, choćby najzręczniejsze, pozostanie zawsze naśladowaniem.

Natomiast warto od Zangwilla słuchać o cadykach-cudotwórcach, kabalistach, mistykach, heretykach i wolnodumcach żydowskich. Z postaciami ich spoufaleni są może rabini i uczeni w piśmie, dla nas jednak są one zupełnie egzotyczne. Urjel Akosta wystąpi tu wyraziściej i zapewne zgodniej z prawdą historyczną, niż w idealizującej tragedji Gutzkowa. U Zangwilla popełnia samobójstwo po nieudanym zamachu morderczym na brata, który wyklętego przez rabinów odszczepieńca wyzuł z majątku. Papierowy Sabataj Cwi (czy Zewi) z dramatu Żuławskiego nie może mierzyć się z Sabatajem Zangwilla — marzycielem Ghetta, suggestjonującym się zwolna coraz skuteczniej, aż do wzbudzenia w sobie wiary, że jest Mesjaszem. Mistyka i niezachwiane przekonanie, iż Żydzi osiągną panowante nad światem, zrasta się u niego niepostrzeżenie z żądzą sławy i wielkości, a zwolna przyłącza się żądza użycia. Sabataj znajduje oblubienicę i królowę w osobie bujnej piękności, której ojca wbili na pal kozacy Chmielnickiego, a która potem w Livorno „kochała się z wieloma, ale za nikogo nie chciała wyjść za mąż“. Na usprawiedliwienie tego znajduje Sabataj mistyczną doktrynę. Otoczeni tłumami upojonych radością Żydów zdążają wśród uroczystości i orgij do Konstantynopola, gdzie, jak głosi przepowiednia, Mesjasz poskromi swą siłą cudotwórczą sułtana i wtrąci go do więzienia. Wówczas znajdzie się zaginionych dziesięć pokoleń i władza nad światem przypadnie narodowi wybranemu. Zwolennicy proroka zadają sobie dobrowolne udręczenia i oddają się dzikiej rozpuście, a szeroki świat żydowski rozbrzmiewa nowiną o zbawcy, co pojawił się w Turcji. Napróżno grupy prawowierne walczą po Ghettach z herezją.

> Wszędzie biczownictwo, rozdawanie jałmużny, prorocze ekstazy i zachwycenie, uczeni i motłoch złączeni radosną wiarą. I wszędzie także wyuzdanie, cudzołóstwo, kazirodztwo dzięki rozpowszechnieniu się mistycznej doktryny, że grzeszny stan świata może być zwalczony jedynie nadmiarem grzechu.

„Królestwo przyszło“, wołają towarzysze Sabataja. Lecz w miarę, jak zbliża się moment rozprawy z sułtanem, jego własną duszę nurtuje coraz większe zwątpienie. Może on nie jest Mesjaszem? Podnosi kochanka na duchu Sara-Meliselda— ona musi być oblubienicą Mesjasza, ona pogardzałaby zwykłym człowiekiem. Napróżno. Załamie się Zewi, zostanie odźwiernym „dobrze płacącego“ padyszacha, przyjmie Islam, a żydowskiemu światu przekaże długotrwałe spory religine.

Zangwill sili się, a przynajmniej pozuje na bezstronność. Przejaskrawia wprawdzie sceny inkwizycyjne, ale idzie w tem za tradycją literatury angielskiej, w której łatwo rozpoznać działanie protestanckich pism polemicznych. Że podobne okrucieństwa były raczej wyjątkiem, a tylko chciwi sensacji powieściopisarze romantyczni zrobili z nich regułę, to rzecz, której nie on jeden w Anglji nie rozumie. I atak na papieża w „Józefie marzycielu“ zgodny jest z angielską tradycją. Gdzie indziej przenosi Zangwill do w. XVII handel odpustami. Ostatecznie jednak niema tych rzeczy zbyt wiele.

Czasem sentyment żydowski dyktuje autorowi pewne naiwności. Oburza się, że gdy w rzymskiem *Ghetto* wybuchła dżuma, zabroniono mieszkańcom wszelkiej komunikacji z resztą miasta. Raz popada w śmieszność. Mówiąc mianowicie o pogromach Chmielnickiego, twierdzi, że zostało po nich ćwierć miljona trupów żydowskich „na polskich pobojowiskach“ (!!) Natomiast zlekka porusza przyczyny kozackiej nienawiści do żydów. Słyszał coś o „Zelmanie“. Ojciec Sary-Meliseldy był dzierżawcą polskich podatków. „aby zbierać opłaty od kozackich (?) urodzin i małżeństw, trzymał u siebie klucze od cerkwi i pop musiał udawać się do niego, gdy chciał chrzcić lub ślub dawać“.

Parokrotnie słyszymy o podwójnej etyce, stosowanej do współwyznawców i do chrześcijan: „Józef marzyciel“: „Nie można argumentować z wilkami. Jest nas tak mało — musimy posługiwać się wobec nich chytrością“. „Urjel Akosta“: „Ty psie! czyż uważasz za rzecz jednakową oszukiwać chrześcijan i naszych własnych braci?“

Atoli w obu przytoczonych miejscach przemawiają żydzi prawowierni, przedstawiciele talmudycznej ciemnoty, więc Zangwill nie wypada z roli bezstronnego malarza przeszłości. Że jednak jest to tylko rola, przekonywamy się z innego miejsca tego rodzaju. Nowela „Pan Imienia“ kreśli dzieje założyciela sekty chasydów, ujęte w opowiadanie jego ucznia. Autor odnosi się do tych osób z żywą sympatją, przeciwstawiając je chytrym cudotwórcom, żerującym na głupocie i przesądności żydowskiego tłumu. Otóż mamy tu następującą historję:

W pewnem mieście żył cadyk, którego świętobliwość i cnotliwy sposób życia znane były także chrześcijanom. Na ludność żydowską padło podejrzenie, że zajmuje się przemytnictwem. Władze zwróciły się do cadyka o opinję, zapowiadając, że poprzestaną na jego słowie i umorzą sprawę o ile publicznie oświadczy, iż uważa zarzut za krzywdzący. Cadyk znalazł się w rozpaczliwem położeniu. Musiał albo skłamać, albo stać się sprawcą nieszczęścia swych współwyznawców, modlił się tedy o śmierć i Jehowa go wysłuchał. Świętobliwy mąż umarł, zanim przysłano po niego z sądu.

Tu opowiadający dodaje swe uwagi:

> Lecz wierny towarzysz Mistrza (t. j. Baal Szema, którego kreśli życiorys) powinien był kwapić się do dania świadectwa prawdzie, nawet przeciw braciom — i wedle mego skromnego sądu; śmierć jego była nie wybawieniem, lecz karą Niebios.

Wzniosłość etyczna iście godna podziwu. Lecz Zangwill czuje, że jest nie na miejscu, jako niezgodna z umysłowością żydowską. To też jego postać, wszedłszy raz na drogę subtelnych rozważań moralnych, wpada wnet w drugą ostateczność:

> Co więcej, gdyby mąż święty był pełnił pokorę — którą Mistrz mój stawiał na pierwszem miejscu pośród trzech cnót kardynalnych — nie byłby uznał za rzecz tak fatalną raz skłamać. Albowiem któż może wątpić, że wedle tego, jak sam się przedstawia, było w nim więcej cnoty dusznej, niż czystej miłości prawdy? A gdyby był pełnił drugą z trzech cnót kardynalnych — pogodę umysłu — byłby wiedział, że Bóg może odpuścić nawet grzech kłamstwa. A gdyby był pełnił trzecią — Uniesienie ducha — nigdyby nie był zacieśnił się do jednego przykazania, i to negatywnego „nie kłam!“

Zangwill daje tu wyborny przykład talmudycznego „rozcinania włoska“ (sam często używa

tego wyrażenia). W stosunku de moralności chrześcijańskiej czy do kategorycznego imperatywu Kanta na przeciwległym biegunie. Wszystko stoi na rozumowaniu, na sofistyce. Są dwa wykluczające się punkty widzenia i oba mogą być słuszne. Jest klasyfikacja „cnót kardynalnych, ale klasyfikacja nakazów etycznych może być dowolna". Potępione jest tylko stanowisko jednostki, która znalazła się między dwoma nakazami, a nie umiejąc rozstrzygnąć, zapragnęła wyjść z beznadziejnego położenia kosztem własnego życia (ale bez samobójstwa). Stosunek samego Zangwilla do problemu nie jest ustalony. Ale nieuprzedzony czytelnik czuje, że godzi się on raczej z drugiem rozumowaniem, że na miejscu owego świętego męża... nie byłby modlił się o skonanie.

Zangwill należy do żydów wolnomyślnych, w w. XVII czy XVIII byłby przez swój naród zwany „epikurejczykiem", byłby wyklinany przez rabinów. Nietolerancję *Ghetta* zestawia z hiszpańską i portugalską nietolerancją względem żydów. Maluje nieraz bardzo jaskrawe przykłady ciemnoty i barbarzyństwa żydowskiego tłumu. Są to rzeczy dla Polaka naogół nienowe. Ze względu jednak na to, że w naszym kraju stosunki, jakie on przedstawia na tle dawniejszych wieków, zachowały się co najmniej u dwóch trzecich żydów, ze względu na to, że świadek, gorący patrjota żydowski, z pewnością nie przesadza na niekorzyść swego narodu, warto z jego książki wyjąć pewną ilość takich przykładów, otwierających całe horyzonty fanatyzmu, ciemnoty i prymitywnej surowości.

Poczucie surowości własnej:

Nędzną, kurną chatę litewskiego Żyda odwiedza przypadkowo piękna i strojna księżniczka. Dziecko patrzy na nią z uwielbieniem, lecz ojciec odzywa się na boku: „Głupcze! W przyszłym świecie" (*in the world to come* więc może to również znaczy: w przyszłym świecie t. j. w przyszłym porządku świata) księżniczka będzie nam paliła w piecu".

Fanatyzm religijny.

Urjel Akosta ukorzył się przed synagogą i odwołał swe błędy. Uczynił to z miłości dla pięknej Jante (Jenty). Lecz rodzina jej dowiaduje się, że na stole Akosty pojawia się po mięsie tort z kremem (*milchig und fleischig!*) Jest to wykroczenie przeciw mojżeszowym przepisom, podyktowanym względami sanitarnemi. Grzech odpowiadałby u nas złamaniu postu. Lecz rodzina zrywa z Akostą i rzecz prowadzi pośrednio do jego wyklęcia. Czy jakiego katolika obłożono kiedy ekskomuniką za to, że jadł mięso w piątek?

Zawieranie małżeństw (jak u niektórych ludów pierwotnych, przez kupno).

Pośrednik (Schadchen) polecił ojcu Majmona żonę dla syna. Ojciec napisał do jej rodziców list, ułożony z samych cytatów biblijnych i talmudycznych. Między innemi było tam zdanie z „Pieśni nad pieśniami", że Salomon ma otrzymać tysiąc sztuk srebra, a stróże winnicy dwieście. Pierwsza cyfra odnosiła się do posagu, drugiej sumy żądał dla siebie ojciec przyszłego rabina. A raczej żądał więcej, bo przy ustnych pertraktacjach powiedział: Czterysta. — Wszakże pisałeś „dwieście!" — To tylko aby nie popsuć pięknego cytatu.

Rzeczywiścia dostał 400 talarów, natomiast syn nie dostał nic, bo narzeczona umarła. Zaręczył się z inną, ale chciał zerwać, gdyż znalazł bogatszą. Przyszła teściowa jednak uzyskała przeciw niemu wyrok rabina: Nie wolno było pochować matki Majmona, która umarła w tym czasie, póki on nie dotrzyma przyrzeczenia i nie poślubi narzeczonej. I poślubił.

Słyszymy również o małżeństwach dzieci poniżej lat dziesięciu — a były to małżeństwą prawdziwe. Majmon mówi o „synu swym lat czternastu".

Cuda:

Żyd, opowiadający o świątobliwym Baal Szemie przybył do sławnego cadyka Bära, również z sekty Chasydów, który zadziwiał przybyłych z dalekich stron Żydów znajomością ich życzeń (gdyż nie rozwijał kartek, na których je spisano). Lecz wszystko jest zręcznie zainscenizowaną sztuczką. Tenże cadyk prowadzi na pokaz żywot skromny i ascetyczny, lecz w gruncie rzeczy niczego sobie nie żałuje. Na jego dostatek składa się tłum, wierzący w świętość cadyka Bära.

Płeć dziecka:

Jeden z towarzyszy Bära opóźnia się na zebranie i wyjaśnia to połogiem żony.

— „Chłopak czy dziewczyna?" — zawołało kilka głosów.
— „Dziewczyna" — rzekł z wielkim wstydem.
— „Dziewczyna!" krzyknął święty z oburzeniem. „Zasługujesz na chłostę".
Towarzystwo bezzwłocznie rzuciło się na nieszczęśliwego, przewróciło go i wymierzyło mu cięgi — wśród śmiechu, lecz bardzo sumiennie.

Samosądy:

Baal Szem podczas podróży słyszy okrzyk „Na pomoc!" Ocala kobietę, którą dwaj rabini chcieli zabić. Odzywa się do niej:

— „Nie lękaj się. A wy, mordercy, padnijcie mi do nóg i podziękujcie, żem wam ocalił waszą cząstkę w Przyszłym Świecie".
— „Nie, tyś nas jej pozbawił" — rzekł Żyd ze sztyletem, mieliśmy bowiem dokonać pomsty Nieblos. Wiedz, że to nasza siostra. Odkryliśmy, że jest rozpustnem stworzeniem, które musi ściągnąć hańbę na naszą uczoną rodzinę i bogobojne miasto. Tedy my i mąż jej odbyliśmy tajemny Beth-Diu i postanowiliśmy wedle ducha starego prawa to miejsce zarażone w Izraelu ogniem wypalić dla chwały Imienia (Jehowy).

Rozwody:

Na statku, płynącym do Palestyny (z końcem XIX w.) jest pół-obłąkana Żydówka egipska z noworodkiem. Aron pielgrzym

poznał jej historję, codzienną historję kobiety, której wedle zwyczaju Ghetta mąż w Nowym Yorku dał rozwód i którą odesłał prawie bez grosza do rodzinnego Kairu, jeszcze dotkniętą chwilowym obłędem po połogu.

Handel żywym towarem:

Na tym samym okręcie jest przystojna Żydówka, którą „łajdak Żyd (a roscally Jew) zwabił do Marsylji na posadę". Autor nazywa to „niemniej codzienną historją".

Kłótliwość sekciarstwa:

W opisie kongresu sjonistycznego w Bazylei mamy zdanie:

Na chwilę pełne godności zgromadzenie pada ofiarą atawizmu i reprodukuje brudną, wrzaskliwą sprzeczkę w kahale.

O cóż poszło?

O małostkową wojnę między Holendrem a Polakiem (t. j. Żydem holenderskim a polskim), o wzajemne poczucie wyższości nad sobą ze strony Sefardim i Aszkenazim, o groteskowe wykluczanie się wzajemne Żyda zachodniego i wschodniego, o cynizm i snobizm tych, którym się powiodło, o materjalizm pozbawionych wykształcenia awanturników w niezbadanych krainach.

Ciężki akt oskarżenia.

Handel:

Aron pielgrzym otrzymał miejsce w sklepie kortu londyńskiego. Był to skład tandety dla ma-

rynarzy, którzy często przychodzili nietrzeźwi. Aron stracił wkrótce posadę — oczekiwano od niego, że będzie przy dodawaniu szylingów robił funty, a nawet włączał datę do sumy (Zangwill nie mówi, czy skład był chrześcijański czy żydowski). Lesz Aron był uczciwy. Uznawał honorowe wmawianie w klienta wartości lichego towaru, łajdackich sztuczek nie uznawał.

*

Zangwill jest nieprzyjacielem etyki Ghetta. Choć odczuwa żywo tragedję Żydów, nazywa ją równocześnie wyniosłą i brudną (*sublime and sordid*). Zło płynie dla niego z religji. Lecz kocha swój naród tak, że stosuje do niego wyrazy, które u Szekspira malują tajemniczy, niezniszczalny urok Kleopatry:

> Jej wiek nie zrobi zwiędłą, niezmierzona
> Jej zmienność nigdy nie utraci wdzięku
> Przez spowszednienie.

(Dok. n.) WŁADYSŁAW TARNAWSKI

O POLSKICH SKARBACH SZTUKI

NIERAZ się słyszy niekorzystne dla nas porównania, czynione między muzeami zagranicznemi i zawartością muzeów w Polsce. Czy jednak stan posiadania w tym zakresie w Polsce jest tak mizerny? Muzeów sztuki jest u nas bardzo niewiele, gdyż właściwie tego typu mamy tylko Galerję Miejską we Lwowie, Muzeum Czartoryskich w Krakowie i w pewnym stopniu Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu. Wszelkie inne muzea czy to państwowe, czy miejskie, czy prywatne obok ściśle dzieł sztuki mają bądź zbiory etnograficzne, bądź pamiątki historyczne lub prahistorję i t. p. albo też sztuka tworzy tam jedną, często wcale niepokaźną cząstkę.

Istotnie jednak ten większy lub mniejszy dział sztuki wskutek zespołu najróżnorodniejszych warunków i czynników rzadko kiedy odpowiada wymaganiom, stawianym dziś w tej dziedzinie na Zachodzie. Jednym z głównych powodów takiego stanu rzeczy jest brak programu i fachowych czynników, decydujących o nabytkach dla muzeów; nawet jednak stopniowa zmiana na lepsze przez angażowanie na tego rodzaju stanowiska odpowiednio przygotowanych ludzi — złemu całkowicie nie zaradzi. Musi wystąpić jednocześnie ze strony społeczeństwa zrozumienie pewnych zadań, włożonych na nie przez ubiegłe pokolenia.

Wiadomo, że pierwszorzędne dzieła sztuki coraz rzadziej się trafiają w rękach prywatnych, gdyż wędrówka ich zazwyczaj się kończy zawinięciem do portu w jakiemś muzeum. Wiadomo również, że po tylu dewastacjach na terytorjum Polski stan posiadania w zakresie dzieł sztuki retrospektywnej znakomicie się pomniejszył. Czyż więc nie należałoby baczniejszej zwrócić uwagi na cenniejsze zabytki znajdujące się dziś w Polsce? Zapewne, że ciężka sytuacja ekonomiczna kraju odbić się musi i na kieszeni jego obywateli. Jeżeli jednak znaleźli się ludzie, którzy takie dzieła sztuki potrafili ocenić, wybrać i ściągnąć do kraju—czyż następcy ich nie znajdą dość zrozumienia, aby ten stan posiadania narodowego utrzymać?

Niestety fakty codzień nam mówią o rabunkowej gospodarce w tej dziedzinie. W Rosji Sowjety sprzedają skarby sztuki nagromadzone w Ermitażu — u nas spadkobiercy dawnych mecenasów czy amatorów sztuki wywożą zagranicę objekty, o których często zbiór publiczny się dowiaduje dopiero z pism zagranicznych. Istnieje wprawdzie instytucja, udzielająca każdorazowo pozwolenia na wywóz, sprawa ta jednak nie jest widocznie dość skrupulatnie przeprowadzana w życiu, gdyż zdarza się, że pozwolenie takie zostaje wydane bez porozumienia się z instytucjami zainteresowanemi w kraju, na których odmowę nieraz fałszywie powołują się sprzedawcy (jak to np. niedawno miało miejsce przy wywozie z Polski niezwykle cennego arrasu z XVI w.), kiedyindziej zaś widocznie dzieła sztuki wyjeżdzają bez urzędowego pozwolenia na wywóz.

I oto fakt wywiezienia słynnego Lisowszczyka Rembrandta, który tyle narobił wrzawy jeszcze przed wojną, nie pozostał odosobniony; szereg obrazów z prywatnych kolekcyj niepowrotnie przedostał się zagranicę, m. in. piękny portret „Wenecjanki“ A. Dürera, który był wystawiony w Zachęcie na Wystawie Kresowej w r. 1921 i wysłany „do ekspertyzy“ do Wiednia; już stamtąd nie powrócił, trafiwszy do *Kunsthistorisches Museum*, którego dyrektor za chlubę swojej działalności uważa dokonanie takiego nabytku. Dwa lata temu przez Bazyleję trafił do Paryża wywieziony przez właściciela z Polski obraz Holbeina. W nieumiejętne ręce już przez handlarza oddany do restauracji w Paryżu, został w połowie zupełnie zniszczony i w tym stanie osiągnął jednak cenę potrójną w stosunku do tej, jaką otrzymał właściciel, który mógł był chyba stanąć na bardziej obywatelskiem stanowisku i obraz sprzedać za tę przystępną cenę któremuś z muzeów w kraju. Mniej więcej w tym samym czasie jedna z większych kolekcyj magnackich w Wielkopolsce sprzedała do Anglji dwa manuskrypty illuminowane, podobno romańskie ze swych zbiorów, a przecież nie mamy tak wielu zabytków tego rodzaju w Polsce. Niedawno zaś w styczniowym zeszycie czasopisma *„Pantheon“* czytamy wiadomość o nabyciu przez jeden z prywatnych zbiorów sztuki w New-Yorku obrazu Jana von Eyck, przedstawiającego głowę pielgrzyma, z krótką notatką: *„Es entstammt polnischem Privatbesitz“*. Do New-Yorku również wywędrował nieznaną bliżej drogą cenny ryton sasanidzki, wykopany na Wołyniu i jako zabytek sztuki perskiej na terenie Polski znaleziony, tem większą dla nas wartość mający (patrz „Przegląd literacki“ Nr. 5 (17). Maj 1931. str. 3).

Tak jaskrawe dowody braku uświadomienia obywatelskiego czyż mogą nie potwierdzić opinji, że Polska jest krajem tak mało kulturalnym, iż wiele cennych zabytków sztuki da się tam wyłowić i wywieźć bezkarnie, gdyż nikt się na tem nie pozna. Może racjonalna i planowa inwentaryzacja dzieł sztuki, którą podejmują czynniki oficjalne, powołując do współpracy fachowców, zdoła zapobiec w znacznym stopniu tak niepożądanemu obrotowi sprawy. Pozatem trzeba jednak budzić w społeczeństwie świadomość ciążącego na niem obowiązku chronienia dzieł sztuki i zabytków archeologji.

ST. M. SAWICKA

RUSAŁKI DNIEPRU

(Z MOTYWÓW „KRÓLA DUCHA“)

Uważny czytelnik „Króla Ducha“ pomiędzy wieloma zachęcającemi do rozwiązania zagadkami tego potężnego gąszczu symbolów i nastrojów, znajdzie jeden motyw, nibyto uboczny i przypadkowy, zastanawiający jednak pewną uporczywością, z jaką poeta doń powraca. Są to mianowicie rusałki (inaczej i częściej: nimfy, najady, wodnice, widmice, upiorzyce, panie wodne, wodokryte, cienie, mary, upiorne panie, snów panie, Amfitryta, nawet Amfitrycianka) występujące w rapsodzie V, o „Bolesławie Śmiałym“ przeważnie w jego odmianach, ale i niespodzianie dość w jednej z odmian rapsodu II, znajdujące się w podobnem znaczeniu i w „Samuelu Zborowskim“, a pierwokształtem których jest już Goplana w „Balladynie[1]“). Na ich symboliczne znaczenie zwracano już uwagę (Kleiner, Pawlikowski, Cywiński w przedmowie do Sam. Zbor.), ja pragnę znaczenie to rozwinąć, a to dlatego, iż znajdę przytem sposobność dać Czytelnikowi, który nie jest polonistą niejakie wyobrażenie o ideach potężnego ale ciemnego poematu, przedstawiającego trudności nawet dla filozofów specjalistów. Tylko przez wyjątki, popularnie objaśnione, to arcydzieło Słowackiego może stawać się własnością oświeconego ogółu. Całość jako taka pozostanie terenem zainteresowań tylko dla polonistów.

1. Przedewszystkiem więc należy czytelnika uświadomić, że „Król Duch“ ugruntowany jest na idei metempsychicznej pamięci. Poemat ten opiewa dzieje „dawnych żywotów“ („awatarów“ t. j. wcieleń) Słowackiego — ale ta metempsychiczna idea nie jest u poety czysto intelektualną koncepcją: jest ona sformułowaniem intelektualnem jakichś dojmujących przejść. Żeby się tak, może przesadnie nieco, wyrazić metempsychiczna idea Słowackiego, wyrasta wprost z jego filozofji. Tak się bowiem wydaje, jakby Słowacki, pisząc swoję wielką autobiografję, ulegał chronicznie t. zw. paramnezji. Wiele osób zna to dziwne, niesamowite uczucie, kiedy się nagle zdaje, iż tę oto chwilę, te astralne teraz, człowiek gdzieś, kiedyś, napewno przeżywał — ale kiedy?... Rozsądek powiada, że to niemożliwe, ale uczucie pewności pozostaje. Złudzenie takie jest psychologicznie wytłómaczalne,[2]) ale ludzie o skłonnościach mitycznych chętnie tłómaczą je sobie, jako wspomnienie z przeszłych żywotów. Czy Słowacki ulegał paramnezji? Przypuścić to można z zupełną niemal pewnością. Czy chronicznie — niewiadomo. W każdym razie cały „Król-Duch“ przepojony jest motywem (znanym zresztą i z innych pism Słowackiego) — przypominania. Co raz, to bohaterowie poematu, to poeta wprost od siebie, wyraża się „dotychczas pamiętam, ja pomnę“ i t. p. Dzieje się to z reguły wobec dzikiej posępnej przyrody.

Oto przykład, jeden z wielu: „Pamięci moja, powiedz, coć na złocie i mgle duchowej dziś najjaśniej świta... — — pod wodą... nimf widziałeś krocie i Dniepru falą grające koryta... — — — — Zielone ciemnie i Najad błyskanie pamiętasz... jakieś lampy na ciemności, jakieś miesięczne i upiorne panie... — — — Pomnisz tych Najad pieśń podobną snowi i fal brzeczącą przez paluszki przędzę... — — — Ja pomnę... jak te ręce przezroczyste przez fale idąc ciągną struny złote i tony z tych strun wyciągają szkliste i ziarno ducha wprawiają w tęsknotę — — — i nieraz w morską idąc grotę nie mogę sprostać, aby moje włosy nie drżały — słysząc niewidzialne głosy. — — — Dziś jeszcze córki złotego księżyca z fal patrzą na mnie złotemi oczyma. — — — O dziwy srebrne — przez was mi zapewne ten sen jest dany... że mi dziś tęsknota fale Dnieprowe rozbudziła śpiewne“ i t. d.

Te najady to jest przedewszystkiem nastrój, apercypowany przez poetę, jako coś odnalezionego w głębszych pokładach duszy przez pamięć usymbolizowany cudownie, nastrój wód złoconych blaskiem księżyca — ale to jest i wiara w jakąś realność mistyczną — i jest, jak zaraz zobaczymy, wstęp czy klucz do pewnej ideologji.

*

2. Te widma były straszliwie powabne („były cudne“, jeszcze „dzisiaj jest po nich w duchu tęsknota“) — ale grzeszne. Grzeszne — jakim grzechem? I tu mamy wgląd w jeden z rdzennych słoi myśli Słowackiego: Te istoty fantastyczne „nie pracowały na kształt, lecz ukradły“. Te twory fosforyczne, „zielone, szare, różane, błękitne“, są przeklęte za to, że nigdy nie chciały ani przez szyby i ziarno granitne przejść, ani różą wytrysnąć ze skały, ale jak globu duchy pasorzytne kształt sobie ludzki z kolorów skłamały, owszem piękniejszy“. — — — Przypominam filozofję ewolucyjną Słowackiego: Duch, aby się z powrotem ku Bogu wspiąć, przejść musi trud przedzierania się, poprzez opory, poprzez materję, musi wytwarzać sobie ciała materjalne wprawdzie, ale coraz szlachetniejsze. Rozwój przyrody to właśnie rozwój Ducha, który pracuje i cierpi, który żadnego kształtu szlachetniejszego nie osiąga za darmo, ale tylko kosztem jakiejś ofiary.

Celem rozwoju jest piękno, ale piękno będące symbolem, znakiem dobra: „Piękne jest to co wyaniela materję“ — powiada gdzieś Słowacki, istotą więc piękna jest uduchowienie — i dlatego to każdy kształt piękny, czy to w twórczości człowieka, czy to w przyrodzie — (a jak wiadomo między istotą człowieka a tworów przyrody niema dla Słowackiego żadnej różnicy zasadniczej) — musi być świadomie wypracowany, wymodlony ascetycznym wysiłkiem. Jednakże świadomość poety stwierdza zarazem fakt notoryczny, że przecież jest się pociąganym ku pięknościom, które bynajmniej nie są symbolem życia duchowego, że są kształty życia, które nigdy nie pracowało, nie trudniło się, nie rozwijało się przez ofiary, a jednak, wbrew me-

---

[1]) Por. Króla-Ducha, ed. Pawlikowskiego: Raps. V, strofy XVII — XXII. Odmiany: Raps. II, 13 (w. 25 — 45); Raps. V, 170 (11 — 12: Amfitryta, która pod wodą miesiącami gore), 175 (45 — 66), 177 (91 — 106), 182 (1 — 2), 188 — 1 (5 — 8), 193 (29 — 40), 193 — 2 (1 — 5), 193 — 3 (1 — 2), 194 (61 — 64), 194 — 1 (1 — 3), 218 (17 — 24), 247 (53 — 56).

[2]) A mianowicie przypuścić można, iż powtarza się fizjologję jakiegoś momentu, jego doznanie cenestetyczne t. j. ogólno-ustrojowe, a umysł identyczność tę, z której nie zdaje sobie sprawy, przenosi błędnie na skojarzone w czasie z owym stanem cenestetycznym okoliczności zewnętrzne.

tafizycznej prawdzie poety, wbrew owej etycznej zarazie piękna, powabne jest i pełne czaru. Ale tego rodzaju piękno — tak replikuje myśl poety, musi być pięknem pozornem tylko, kłamliwem, nierzeczywistem, fosforycznem, upiornem. I właśnie te rusałki, tak piękne, ale grzeszne kradzieżą, kradzieżą ciała niewypracowanego wbrew oporom materji twardej, to symbol, żeby tak powiedzieć, piękności nieodpowiedzialnej, pociąg ku nim, tęsknota za niemi — to symbol niedpowiedzialnego moralnie estetyzmu.

Wolno tutaj tak przypuścić: Głęboko w duszę Słowackiemu zapadła Mickiewiczowska młodzieńczej jego poezji nagana — (że wszystko co szło od Mickiewicza było dlań tragicznie ważne, to wiadomo!) — iż to „piękny kościół ale bez Boga". I kto wie, czy teraz w symbolu rusałek, owych „pań miesięcznych, upiornych", które w ciało ubrane zostały przez „myśl bez miłości", jak tworami są samej tylko fantazji bez etycznego patosu, — nie wypiera się Słowacki swego moralnie chłodnego estetyzmu lat młodzieńczych i czy te słowa o „myśli bez miłości", nie pobrzmiewają echem tamtej Mickiewiczowskiej nagany?...

Teraz, w epoce oczyszczenia, moralnie obojętny este'yzm jest w pojęciu Słowackiego pogaństwem, co więcej, wprost bezbożnością. Religijnem powołaniem człowieka jest wyrabiać się przez wysiłek, wysiłek ascetyczny — pełen wyrzeczeń — natomiast amoralny estetyzm chciałby jakby przeskoczyć ponad tem wszystkiem, jakby za darmo osiągnąć, jakby wykraść szczęście, piękno, raj, zbawienie, słowem (jak się dziś wyrażamy) wartość. Ale za to czeka go kara immanentna. Nie wolno mu pokazać się na słońcu, a to znaczy, że w zetknięciu z rzeczywistością, rzeczywistością świata zadań i wysiłków, tamta postawa psychiczna musi załamać się sama w sobie, fantastyczno-awanturnicze samopoczucie, egotyczno-marzycielska pewność siebie, musi pierzchnąć, rozwiać się jak czcza mara i pozostanie poczucie nicości. Nie można bezkarnie energji swej trwonić bezprzedmiotowo.

*

3. Gdy myślę o tych rusałkach, nasuwa mi się i takie przypuszczenie: Czy w tych uroczych widmach Dniepru, które raz nazwane są „Ukrainkami", raz „Rusinkami" i nie symbolizując się też może ubocznie nieco, może nie całkiem świadomie, pokusa ruska Słowackiego? Bo że Słowacki pokusę taką znał i odpychał — to pewno. Przypomnę tu jego słowa: „A ty, o Duchu, obacz się i poznaj, że po skrępowaniu łańcuchami ciała twego, z obu stron szły wkradające się tony, śmierć niosące duchowi: Od wschodu ton ruski obleczony w słowa poezji, od zachodu filozoficzny germanizm".

Słowacki urodzony na Wołyniu, pamiętający z dziecięcych przejazdów Ukrainę, jej stepy puste, uspobiające do bezprzedmiotowej zadumy, znający jej pieśń słodką i rozmarzającą, jej życie wygodne i bujne w użycie, jej zmysłowe, łagodne, ociężałe krasawice o oczach aksamitnych, — Słowacki zna te uroki ruskie — i odpycha je. I kto wie, czy te „podwodne widmice, snów panie", w których się uosobiły dnieprowej wody czary, nie są mu wyrażeniem tej duchowej pasywności, której duch niebezpieczny bo poetyczny wieje od wschodu?[1])

*

4. Pozostaje jeszcze, a także opłaci się zapytać: Czy rusałki te, to tylko symbol, czy wyobraźnia Słowackiego nie udziela im jakiejś mistycznej realności? Pytanie to wyglądać może komuś na insynuację po prostu warjactwa. Ale sądzę, że można dać na nie twierdzącą w pewnej mierze odpowiedź, bez równoczesnej supozycji lekkiego obłędu poety. Trzeba tylko zdać sobie sprawę z logiki jego wyobraźni.

Daje on w paru miejscach jakby jakąś poetycką „filozofię" rusałek. One mogą „z potoku lub skały wytrysnąć tak jak błyskawice i tak przelecieć w powietrzu jak strzały", czyli istnieją one tylko na mgnienie oka, one „na ducha tchnienie mogą wziąć z tęczy pierwsze ciała marne" ale na słońcu bezkarnie pokazać się nie mogą, bo „mają swej nikłości sumienie..." Cóż to znaczy?

Słowacki — animista, on tak głęboko przeświadczony, że świat po brzegi nabity jest psychikami najrozmaitszemi, on, który tak w wyobraźni swej zacierał granice pomiędzy „ja", a „nie-ja", — on napewno wyobrażał sobie, że te księżycowe blaski i poszumy wodne, to coś o wiele więcej niż nasze subjektywne ujęcie spraw czysto mechanicznych. Ba, on, który przeświadczony był, że materja sama przez się, jako taka, na świadomość oddziaływać nie może, ale że wszelkie wrażenie jest wynikiem działania na psychikę jakiejś silnej psychiki — (por. co mówi o zapachu róży!), — on nie mógł przypuszczać, ażeby naszym nastrojowym w zetknięciu z przyrodą wrażeniom nie towarzyszyło po tamtej stronie coś ekwiwalentnego, coś podobnego, więc coś żywego, więc coś psychicznego, żeby słowem, w nastrojach naszych, w naszych symbolizacjach tych nastrojów, w tych, jak dzisiaj mówimy, „wczuwaniach naszych", nie było czegoś „prawdziwego". Jeśli więc jakiś fragment materji, np. wód powierzchnia oświecona księżycem, ich „pieśń senna", wywołuje u nas jakąś bezprzedmiotową tęsknotę — to znaczy to, że poprzez materję tę działać musi coś, co jest pokrewne duszy ludzkiej, jakaś tajemnica, łechcąca serce nasze boleśnie a słodko świadomość... „Złote oczy" w falach, księżycową nocą zwidziane, to jak piękne przenośnie opisowe; ale ta przenośnia u Słowackiego chce, aby wierzyć, że w martwej nibyto naturze jest coś, co w jakiś dziwny sposób podobne jest do ludzkich oczu...

Warto zastanowić się nad tem o ile pełniejszem jest odczuwanie przyrody przy takiem usposobieniu ideowem, niźli przy postawie intelektualnej agnostycznej i mechanistycznej, kiedy to przy każdem nastrojowem „wczuwaniu się", świadomość odrazu oblewa zimną wodą: „To złudzenie tylko.."

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

[1]) Bolesław Śmiały jest grzesznem wcieleniem „Króla Ducha"; on wielkość swoją roztrwonił w przygodach zmysłowych, można go nazwać jakby romantycznym bałagułą. Otóż byłaby to pasywność wschodnia, — i możnaby sobie wyobrazić, że poeta poddał Bolesława grzesznym opętaniom rusałek Dniepru—a wtedy z większą pewnością możnaby przypuścić, że uosabiają one „pokusę ruską". Ale tak nie jest; duch Bolesława Śmiałego przed wcieleniem spadł na dno Dniepru, na łono Amfitryty, „która pod wodą miesiącami gore", ale potem w życiu rzeczywistem wcielonem Bolesława nie widać związku z tem zdarzeniem i rusałkami. Jest to jakby jakaś luka w poemacie, motyw wybrzmiał bez echa. Ma on znaczenie ogólno-symboliczne, znamienne dla myśli Słowackiego, ale nie kompozycyjne.

NA WIDOWNI

Strzały w Truskawcu.—Jan Popławski o sprawie ruskiej i dwu kulturach.—Rok 1920. — Misja wyzwolenia ujarzmionych narodów a Instytut Wschodni.—Wschód polski o Romanie Dmowskim.—Duch polski szuka swego Ja.— Post scriptum.

Po powrocie z wakacyj (niestety zbyt krótkich) chciałem podzielić się z czytelnikami wrażeniem, jakie na mnie zrobiło bohaterskie wystąpienie „zbójców" rusińskich w Truskawcu. Słyszałem ich strzały, być może spotykałem potem uczestników tej wyprawy przy zdroju, niektórzy z nich bowiem — jak przypuszczano — ukryli się między publicznością. Któż ich rozpozna? „Zbójcami" byli chłopcy „cywilizowani", ubrani po sportowemu, z pozoru akademicy. Bohaterstwo ich dosięgło wyżyny 30.000 złotych, zabranych państwowej kasie pocztowej. Chłopcy byli praktyczni, można powiedzieć — materjaliści, ale gest romantyczny, szyllerowski. Zranili dwu ludzi, broniących dobra państwowego i ładu, ale z publicznością, jak to zaznacza z przechwałką „Diło", obeszli się humanitarnie, szlachetnie.

Na rzut oka widać, że młodzi „ukraińcy" są regjonalną odmianą tego radykalizmu romantycznego, który w Polsce krząta się od roku 1905. Ta sama walka dwu kultur wschodniej i zachodniej, walka ze stylem cywilizacji zachodniej wstrząsa naszem społeczeństwem nie tylko na kresach wschodnich. Tak się objawia nasz niedorozwój i w ośrodkach Polski; chorzy jesteśmy ogólnie na sprawę „ruską", chorzy jesteśmy na „wschód". Teraz dopiero, gdy już złączone z młodszemi stare dzielnice, widzimy, jak głęboko na wewnątrz zapędziliśmy ten „wschód" i jego zatarg z psychiką zachodu. Gdyby nie ta psychologja, to przecież po odbudowaniu państwa nie przyszłoby nam do głowy ciągnąć dalej w Małopolsce Wschodniej politykę ruską w tej postaci, jaką jej nadała Austrja.

— — — — — — — — — — — — —

Słuchając strzałów w Truskawcu, przypomniałem sobie, jak stawialiśmy 30 lat temu we Lwowie tą sprawę. Jan Popławski pisał w „Przeglądzie Wszechpolskim":

„Naogół nie doceniamy ważności sprawy ruskiej i nie rozumiemy właściwego jej charakteru. Zapomnieliśmy lub nie wiemy, że ta właśnie fatalna sprawa była jedną z głównych jeżeli nie najgłówniejszą przyczyną upadku Polski, osłabienia jej potęgi, rozstroju jej organizacji państwowej. Napozór inny miała wówczas charakter, ale napozór tylko, wistocie bowiem była, jak dzisiaj w Galicji, nie waśnią narodową, lub nawet społeczną, ale walką kultury europejskiej, Zachodniej z kulturą wschodniobizantyjską". (Popławki „Pismo polityczne", II, 298).

„Z przeszłości nie wyciągnęliśmy — pisze dalej Popławski—nawet tego przeświadczenia, że antagonizm między Polską i Rusią polega na zasadniczej różnicy dwóch kultur, różnicy, wyrażającej się nie tylko w dążeniach politycznych i społecznych, ale i w pojęciach, uczuciach i obyczajach. Nie robiliśmy i dziś nie robimy nic dla złagodzenia tej różnicy, chociażby w formach kultury, przeciwnie sami wzmacnialiśmy i wzmacniamy nierozsądną polityką odrębność kulturalną Rusinów. (Tamże, 303).

Popławski pisał te słowa pod adresem romantyków polskich, kultywujących sentyment ukraiński w duchu tradycyj literackich XIX wieku. Tragiczniej brzmiały jego słowa, gdy Polacy (Kazimierz Badeni, Michał Bobrzyński) pomagali Austrji wyzyskiwać ten sentyment wschodni Polaków na rzecz polityki austrjackiej. „*Tu Austria, nube*". Na tym sentymencie, który dla pokolenia polskiego socjalistycznego stał się momentem orjentacyjnym w polityce, Austrja robiła w Galicji karjerę: sentyment ten ożeniła z austrjacko-niemiecką racją stanu. Związek ten przetrwał czasy romantyzmu rewolucyjnego socjalistów (1904 — 1906) i czasy wojny, ale Popławski, umierając w r. 1908, nie wyobrażał sobie, że w wolnem już państwie polskiem kultywowana będzie owa austrjacka idea (już nie odrębności kulturalnej, ale) odrębności politycznej Ukrainy. Hasło popierania irredenty ukraińskiej nie przyjęło się wśród ludności polskiej w Mołopolsce Wschodniej. Nie poszła ona za testamentem Niemiec, zostawionym w traktacie Brzeskim z roku 1918. Świadczy o tem tragiczny cmentarz na Łyczakowie (widziałem go teraz), całe to wojsko krzyżów, pole święte poległych w obronie kraju, który chciano uczynić własnością Ukrainy. Idea Ukrainy czepiła się doktrynerów kresowych z zaboru rosyjskiego, żyjących tradycją walk z caratem. Powstanie państwa polskiego nie postawiło im przed oczy nowych zadań, owszem, uważają, że los dał im środki na to, aby dawne zadanie porządkowania Rosji wykonywać dalej.

Nie bez zdziwienia — w czasie rozmów o zawieranym jakoby z Rosją pakcie o nieagresji — wyczytaliśmy w „Gazecie Polskiej" (z 15 sierpnia) chełpliwą rewelację historyczną o r. 1920-m:

„Okazało się, że wojsko polskie zostało skierowane na Ukrainę celem dopomożenia walczącemu o niepodległość narodowi ukraińskiemu, i że nie mieliśmy zamiaru przyłączyć do Polski ani piędzi ziemi na wschód od Zbrucza. Dążenie to, jakkolwiek niezrealizowane i należące do przeszłości, będzie dla historji zaszczytnym dowodem czystości polityki polskiej podczas wojny 1919 — 1920 r.".

Przypominam czytelnikowi w tem miejscu moje wywody z poprzedniego tygodnia o wschodnim charakterze naszego romantyzmu w życiu i literaturze. Oto dobitny przykład w przytoczonem wyżej stanowisku. „Zaszczytem" i „czystością" polityki, według tej postawy czysto romantycznej, jest bezinteresowność, zupełne wyzwolenie się z „egoizmu narodowego". Celem jedynym czynu, tak brzemiennego w następstwa, było „dopomożenie walczącej o niepodległość Ukrainie", tej Ukrainie, która groziła zabraniem nam Lwowa i pławiła się we krwi naszej młodzieży.

— — — — — — — — — — — — —

Nie mamy czasopisma subsydjowanego p. t. „Zachód", natomiast wychodzi w bogatych tomach pismo „Wschód", kwartalnik poświęcony sprawom Wschodu, wydawany jakoby przez młodzież akademicką. Nie jest to bynajmniej studjum naukowe nad wschodem, które mogłoby stanowić bardzo pożyteczną placówkę orjentalistyczną. Całe ono od początku do końca przepojone jest hasłem wyzwolenia ludów uciśnionych przez Rosję. W piśmie tem, skuzynowanem z Instytutem Wschodnim w Wilnie, pisze się takie rzeczy o Ukrainie:

„Szczególne znaczenie ma wolna Ukraina dla Polski. Tylko wolna Ukraina może uwolnić Polskę od dwu cisnących ją kamieni młyńskich, Berlina i czerwonej Rosji". (nr. 4, str. 14 lipiec 1931).

Nic się więc nie zmieniło od r. 1920. „Młodzież" polska tej szkoły wschodniej za najświętszy swój obowiązek uważa współdziałanie z ruchem wyzwoleńczym Ukrainy, Białorusi, Tatarów, Jakutów i t. d. pod „zaszczytnem i czystem" hasłem „za waszą wolność".

Więc i Białoruś. Nie jest ta kwestja również dla nas zewnętrzna, jakby z księżyca, mamy ją wewnątrz. Trafiam, w czasie pisania tego fejletonu, na korespondencję z Wilna w „Głosie Pomorskim", nr. 194 z 25 sierpnia r. b. Oto urywek z niej:

„Po raz pierwszy nazwisko p. Jedrzejewicza stało się nam znane jesienią 1928 r. W tym właśnie czasie odwiedził nasze miasto obecny minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego w charakterze wizytatora tegoż ministerstwa, którego zresztą już wówczas był „faktycznym" kierownikiem. Tak przynajmniej głosiły wieści. P. wizytator interesował się wówczas specjalnie zagadnieniem białoruskiem. W celu bezpośredniego zetknięcia się z ludnością „białoruską" p. Jędrzejewicz udał się w podróż inspekcyjną do poszczególnych powiatów. Co tam znalazł, dokładnie nie wiemy, ale mamy ciekawe informacje o pobycie p. wizytatora ministerjalnego w powiecie oszmiańskim.

Jest to, jak wiadomo, jeden z najbardziej polskich powiatów, przyczem znaczny odsetek stanowi w nim szlachta zaściankowa, pod względem narodowym bardzo dobrze uświadomiona i do wszelkich „białoruskich" dyrdymałek usposobiona co najmniej krytycznie. Otóż w tym właśnie powiecie oszmiańskim p. Jędrzejewicz gorliwie poszukiwał Białorusinów. Wizytując w towarzystwie starosty (incognito) szkoły powszechne, wszędzie dopytywał się o język, jakim się dzieci posługują w domu, dziwił się mocno, kiedy zapytane dziecko odpowiedziało po polsku, że z rodzicami rozmawia po „tutejszemu", po „prostemu", lub po „chłopsku". W paru miejscach wręcz zapytywał, czy odpowiedzi dziatwy nie są skutkiem szowinistycznego stanowiska nauczycielstwa.

Pobyt ówczesny p. Jędrzejewicza, pomimo wykazania przezeń tak „gruntownej" znajomości stosunków na kresach i orjentowania się w rozmieszczeniu narodowości, nie pozostał bez śladu, bo bezpośrednio niemal po tej wizycie mieliśmy założenie szeregu nowych szkół białoruskich w woj. wileńskiem.

Na tem jednakże stosunek ministra Jędrzejewicza z Wilnem bynajmniej nie został zerwany. Oto w 1929 roku powstał u nas w Wilnie i z wielką pompą i hałasem został otwarty „Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej". Dyrektorem tej nowej placówki „wiedzy i oświaty" został właśnie p. Jędrzejewicz".

— — — — — — — — — — — —

Rok temu Roman Dmowski ogłosił w prasie na przedziwnie jasnej argumentacji opartą rozprawę o „Kwestji Ukraińskiej". Zrobiła ona wielkie wrażenie w świecie politycznym naszym i zagranicą, uznana za deklarację myślącego normalnie narodu polskiego. Przemawiał w niej człowiek Zachodu, dla którego realny sposób myślenia o rzeczy, za którą się jest odpowiedzialnym, a więc w tym wypadku o Rzeczypospolitej polskiej, o jej interesach, nie o interesach wewnętrznych cudzych, jest najgodziwszą drogą wyjścia z konfliktów. Obecnie z powodu ukazania się tej rozprawy w książce „Świat powojenny i Polska" przemówił człowiek wschodni — można sobie wyobrazić z jaką złością. Mianowicie wysoko - sanacyjny „Kurjer Wileński", pisze (nr. 195 z 26 sierpnia):

„Po tylu i tak wyraźnie zbankrutowanych próbach R. Dmowskiego „stworzenia polityki polskiej w stosunku do Rosji" — czyż mamy go uważać dzisiaj za eksperta w tej sprawie?..

Polityka polska w stosunku do Rosji jest już, coprawda „stworzona" bez pomocy i interwencji R. Dmowskiego. Stworzył ją czyn orężny J. Piłsudzkiego r. 1920-tym. Wymowa szabli polskiej okazała się bardziej zrozumiała, aniżeli wszystkie wywody R. Dmowskiego z trybuny Dumy i ze szpalt prasy. Dlatego i ostatnia próba jego wskrzeszenia w Polsce moskalofilstwa(!) w stosunku do Rosji Sowieckiej skazana jest zgóry na bezsławne i ośmieszające niepowodzenie".

Oczywiście ta niecna, demagogiczna insynuacja w głupkowatym artykuliku nie może stanowić przeciwwagi uzasadnieniom tezy politycznej Dmowskiego, rozwiniętym w ostatniej jego książce, tezy, która przez wszystkich polityków uznana została za elementarną podstawę orjentacyjną polityki środkowo - europejskiej. Świadczy ona jednak jaskrawo o postawie psychicznej i tendencjach pewnych sfer, które społeczeństwo polskie pracą kulturalną przezwyciężyć musi, aby odzyskać postawę dziejową kraju zachodniego.

Fakty i dokumenty, które przytaczam zarówno z życia literackiego, jak i politycznego, charakteryzują stan fermentu, w jakim obecnie duch polski się znajduje po zjednoczeniu, poszukując swego pionu i swego Ja w samowiedzy narodowej.

— — — — — — — — — — — —

P. S. To, co napisałem wyżej, było już w drukarni, kiedy dzienniki (niedzielne) przyniosły wiadomość o morderstwie, dokonanem w Truskawcu na pośle Tadeuszu Hołówce.

Ś. p. Hołówko, człowiek osobiście uczciwy, cieszący się sympatją w różnych sferach, był ukrainofilem, federalistą i niewątpliwie z przekonania usiłował jednać Rusinów ustępstwami a perswazją. Był to jeden z typowych socjalistów-romantyków ze wschodu. Urodzony i wychowany w Turkiestanie, politycznie kształcony w Krakowie w atmosferze POW i w służbie u Piłsudskiego, wysyłany był swego czasu jako emisarjusz na Ukrainę i, jako czołowy człowiek grupy dzisiaj rządzącej, był naczelnikiem Wydziału Wschodniego w ministerjum spraw zagranicznych, jednym z kierowników stronnictwa rządowego BB i wiceprezesem Klubu parlamentarnego tego obozu.

Podziwiałem jego styl, widząc go w Truskawcu, że zamieszkał nie gdzieindziej, jeno w pensjonacie ruskich Bazyljanek. Było w tem niewątpliwie coś demonstracyjnego, zwłaszcza że działo się to w kilka dni po rabunku politycznym, dokonanym na poczcie truskawieckiej i po zabójstwie agenta policyjnego obok w Borysławiu.

Właśnie tego dnia, 29 sierpnia, na parę godzin przed śmiercią Hołówki, w uroczej Genewie przemawiała z trybuny nasza posłanka sejmowa, *madame* Milena Rudnicka. Było to na kongresie mniejszości narodowych, któremi się opiekuje Liga Narodów, a którym przewodzą w tej osobliwej organizacji Niemcy. Ukazanie się jej na trybunie powitali Niemcy demonstracyjnemi oklaskami, a mówiła przeciwko Polsce tak, że przewodniczący głos jej odebrał. Tematem była sprawa „pacyfikacji" Małopolski przed wyborami. Hołówko był zwolennikiem innej metody, ale ta, jak widać, w Berlinie jeszcze mniej się podoba.

Telegramy z Genewy zeszły się na jednej stronicy dzienników polskich z truskawieckiemi. A w świetle tych doniesień zarysował się, jak w błyskawicy, dramat polski. Ktokolwiek zabił ś. p. Hołówkę, jest to katastrofa na linji politycznej Polski.

To jedno dla mnie jest pewnem — i to wynika z założenia mego artykułu — że odbudowę tej linji musimy zacząć od siebie, mianowicie wypruć musimy z siebie wątek psychiczny wschodniomesjaniczny zbawiania świata i zastąpić go trzeźwem poczuciem swego Ja narodowego. Wtedy będziemy wiedzieli, co robić u siebie ze swoją schedą historyczną.

W szczególności zaś to jedno narazie stwierdzić dziś muszą ludzie uczciwi we wszystkich obozach, że torpedy, puszczone w tej chwili właśnie z prasy sanacyjnej w osobę Romana Dmowskiego za to, że doradza inną linję polityczną, są bezmyślnym i karygodnym zamachem na zdrowy sens Narodu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

UKŁADY Z SOWIETAMI

FRANCUSKIE ministerjum spraw zagranicznych ogłosiło w prasie następujący komunikat:

„Niektóre pisma podały ostatnio wiadomość, według której rzekomo nie miały dotąd miejsca żadne rokowania między Polską a Unją Sowiecką w sprawie ewentualnego zawarcia paktu nieagresji.

Jesteśmy w stanie stwierdzić, że wiadomość ta nie jest ścisła.

W październiku 1930 r. Polska otrzymała propozycję ze strony sowieckiej, zmierzającą do zawarcia paktu o nieagresji. W ciągu grudnia rząd polski zaznaczył, że zasadniczo jest gotów zbadać propozycję rządu moskiewskiego, zaś w dniu 12 lutego 1931 r. polski min. spraw zagr. p. Zaleski złożył oświadczenie w tym sensie w komisji zagranicznej Senatu polskiego.

Rząd francuski rozpoczął więc w kwietniu 1931 r. po uzyskaniu pewności, że od szeregu miesięcy istniały już rokowania między Warszawą a Moskwą, badania ze swej strony w związku z negocjami handlowemi nad propozycją zawarcia paktu nieagresji, którą przedkładano już rządowi francuskiemu kilkakrotnie ze strony sowieckiej.

Ostatnie informacje, otrzymane z Warszawy, wskazują, że rozmowy między Polską a Sowietami, dotyczące zawarcia paktu, a chwilowo wstrzymane, będą w najbliższym czasie znowu podjęte w Moskwie".

Z powyższego komunikatu wynika wyraźnie, iż Francja wszczęła rokowania z Sowietami na tej podstawie, iż już przed tem toczyły się między Polską a Moskwą rozmowy na temat zawarcia paktu nieagresji między temi dwoma państwami. W komunikacie ministerjum spraw zagranicznych można wyczytać, iż Francja nie zawrze żadnego paktu z Rosją bez zgody i współudziału Polski. Droga więc z Moskwy prowadzi do Paryża przez Warszawę. Bez porozumienia się z Polską nie będzie porozumienia rosyjsko-francuskiego, na którem tak bardzo zależy Sowietom.

W „Gazecie Warszawskiej" (nr. 266) czytamy:

„Urzędowa agencja sowiecka Tass, ogłosiła półoficjalny komunikat, omawiający pakt nieagresji, przedstawiony Litwinowowi przez pos. Patka. Komunikat wywodzi, że projekt polski oparty jest na tych samych podstawach, na jakich był oparty projekt, przedstawiony w r. 1926-ym, a jaki przez Sowiety został uznany za niemożliwy do przyjęcia. Dodatkowe propozycje, przedłożone w projekcie ostatnim, są dla Sowietów również nie zadawalające. Z tych względów komisarjat zagraniczny uważa, że podpisanie paktu o nieagresji jest w danej chwili nieaktualne".

Jednocześnie dzienniki ogłaszają, że poseł polski w Moskwie, min. Patek, opuścił Moskwę, udając się na sześciotygodniowy wypoczynek.

KRYZYS GOSPODARCZY

PONIEWAŻ w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej" uległy konfiskacie Komisarjatu Rządu ustępy w artykule „Kryzys gospodarczy w Polsce", dotykające momentu psychicznego zaufania, przez co obraz kryzysu stał się niejasny, więc teraz do uzupełnienia obrazu przytaczamy komunikat urzędowej P. A. T., który jest pewno cenzuralny. Jest to ocena obecnej sytuacji gospodarczej, dokonana przez „Instytut badania konjunktur gospodarczych":

„W rozwoju czynników gospodarczych nie nastąpiły poważniejsze zmiany. Wyniki zbiorów zapowiadają raczej możliwości pewnej poprawy sytuacji rolnictwa dopiero w późniejszym okresie. Decydujący natomiast wpływ na położenie ekonomiczne kraju wywierają obecnie czynniki o charakterze pozagospodarczym. Kryzys zaufania, podsycany w czerwcu i lipcu wydarzeniami o charakterze międzynarodowym trwa nadal, pociągając za sobą silny odpływ wkładów z banków, ucieczkę kapitałów za granicę i tezauryzację walut obcych. Panika finansowa dotarła w lipcu do drobnych kapitalistów, na co wskazuje silny spadek wkładów w komunalnych kasach oszczędności, które dotychczas wykazywały z nielicznemi wyjątkami (we wrześniu 1930 r.) stały wzrost. Uspokojenie na rynku dewizowym nastąpiło dopiero około połowy sierpnia, na co wskazuje zahamowanie spadku rezerw Banku Polskiego oraz znaczniejsza zniżka kursu dolara gotówkowego.

Ucieczka kapitałów bądź w formie lokowania gotówki w bankach zagranicznych, bądź w formie tezauryzacji walut obcych lub w jakikolwiek inny sposób, wywiera na rozwój gospodarczy kraju i na jego konjunkturę wpływ ujemny, odwrotny do tego, jaki można normalnie obserwować w wypadkach dopływu kredytów zagranicznych. Jeżeli więc import kapitałów z zagranicy pociąga za sobą zwiększenie rozmiarów produkcji, to ucieczka kapitałów za granicę jest czynnikiem, uniemożliwiającym jakąkolwiek poprawę konjunktury, a w obecnych warunkach działającym w kierunku zmniejszenia produkcji.

Ujemne następstwa ucieczki kapitałów ujawniły się w dziedzinie produkcji ze znaczną siłą już w lipcu. Ogólne rozmiary produkcji przemysłowej, które wykazywały lekki wzrost w ciągu drugiego kwartału, a mianowicie z 90,9 w marcu do 94,0 w czerwcu, w lipcu spadły do 92,7, przyczem należy zaznaczyć, że spadek ten byłby blizko dwukrotnie większy, gdyby nie równoczesny przypadkowy silny wzrost produkcji węgla.

Przy obecnym stanie psychicznym społeczeństwa i skłonności do paniki, w ciągu szeregu najbliższych miesięcy nietylko nie może być mowy o jakiejkolwiek poprawie konjunktury, lecz wprost przeciwnie, należy się liczyć z możliwością dalszego zaostrzenia sytuacji finansowej i dalszego ponadsezonowego ograniczenia produkcji, zwłaszcza po zakończeniu sezonu budowlanego. Gdyby jednak udało się przywrócić zaufanie co do przyszłego kształtowania się wewnętrznych stosunków politycznych i gospodarczych, wówczas automatycznie zostałyby stworzone warunki pewnej poprawy konjunktury, wtedy bowiem powróciłyby do obiegu kapitały stezauryzowane lub wywiezione za granicę. Kapitały te według szacunkowych obliczeń wynoszą w chwili obecnej około 500 miljonów złotych. Ich powrót pociągnąłby za sobą upłynnienie rynku pieniężnego i otworzyłby możliwości rozszerzenia produkcji przemysłowej w kraju.

PO ZLOCIE SKAUTÓW SŁOWIAŃSKICH

IDEA wzajemnego porozumienia się dwóch kulturalnie najstarszych narodów słowiańskich, mianowicie czeskiego i polskiego miała dawno i ma po dziś dzień gorących zwolenników tak z jednej jak i z drugiej strony. Dość wspomnieć z naszej strony Adolfa Nowaczyńskiego, propagatora zbliżenia polsko - czeskiego przedewszystkiem na polu kulturalnem.

Od chwili przybycia Dąbrówki do Polski, a następnie wiary chrześcijańskiej, losy obu narodow splatają się na długie wieki. Są to rzeczy z podręczników historji Polski znane.

W ostatnich czasach na terenie polityki międzynarodowej państw słowiańskich zjawia się coraz częściej myśl jednoczenia się tychże w celu obrony wspólnych interesów. Mówi się o konieczności porozumienia się gospodarczego i politycznego, o potrzebie stworzenia wspólnego frontu przeciwko wiecznie napierającej fali germanizmu.

Sprawa oczywiście bardzo trudna i wymagająca dużo wysiłku i dobrej woli narodów w tem zainteresowanych. Mimo to warto o niej czasami pomyśleć i pomówić. Stosunki nasze z Czechosłowacją są nacechowane zawsze pewną rezerwą i nieufnością. I *vice versa*. O co chodzi? Pominąwszy przykre wspomnienia związane z utratą Śląska Cie-

szyńskiego i inne, chodzi tu ni mniej ni więcej tylko o supremację kulturalną i polityczną jednego z tych narodów w życiu kulturalnem i politycznem innych bratnich narodów słowiańskich. Stąd ta nieufność, stąd ciągłe właženie sobie na nagniotki, nieporozumienia i dąsy. A tymczasem kto inny z tego korzysta. I oto wkracza na widownię dziejową nowy czynnik w życiu Słowian — młode pokolenie skautowe. Element zdrowy, prężny, sięgający z dumą po ster naszej przyszłości. Cudowny wynalazek baden-powellowski stworzył organizację, której skutki będą prawdopodobnie pewniejsze niż cała Liga Narodów!

W roku bieżącym Polska i Czechosłowacja obchodzą 20-lecie istnienia organizacji skautowej. Z tej okazji urządziło Biuro Skautów Słowiańskich—obecnie z siedzibą w Polsce.—(Przewodniczącym Biura Skautek i Skautów słowiańskich jest Dr. Tadeusz Strumiłło, prof. Uniw. lubelskiego) zlot skautów narodów słowiańskich w Pradze w czasie od 23.VI do 3.VII b. r. Na to radosne święto przybyli skauci, Słowianie w liczbie około 15,000. Po Czechach, jako gospodarzach, była najliczniej reprezentowaną organizacja polska. Byliśmy tam bowiem w liczbie około 2,000 harcerzy i harcerek, jak przystało na najliczniejszą organizację harcerską z pośród Słowian. Udaliśmy się do Złotej Pragi, aby tam zamanifestować żywotność harcerstwa polskiego, zobaczyć dorobek skautowy bratnich organizacyj i przeciwstawić im własny.

Ale poza chęcią uczczenia 20-lecia istnienia skautingu, czy raczej jak mówią Czesi junactwa czesko-słowackiego zlot ten miał jeszcze co innego na celu. Oto hasłem dni wspólnie spędzonych w obozach nad Wełtawą było: „Bracia - Słowianie, łączmy się!" O tem wszędzie przy każdej sposobności się tam mówiło — od najmłodszych do najstarszych; i ci i tamci na swój sposób. Gdy się widziało to rojowisko młodzieży skautowej, mówiącej różnemi językami, zrozumiałemi dla wszystkich Słowian, związanej węzłami miłości braterskiej i ogólnoludzkiej, dyktowanej prawem skautowem, mimo woli przychodziło na myśl, że ci chłopcy dokonają kiedyś w dziedzinie porozumienia między swemi narodami więcej niż wszystkie Locarna i pakty Kellogów. Czuło się, że skauci naprawdę są do tego zdolni.

Skauting bowiem oparty jest na dwóch wspierających się jedna na drugiej podstawach — na miłości narodu i ludzkości. To oparcie jego o naród, o przeszłość, celem budowania lepszej przyszłości stanowi moralną wartość harcerstwa. I dlatego harcerstwo mimo zamachów różnych partyj, ostoi się na tej niewzruszonej podstawie.

Podkreślił to dobitnie w swem przemówieniu do tysięcznych rzesz skautowych zgromadzonych na Hradzie prezydent Masaryk, mówiąc: „Akceptuję w pełni wasz program narodu i ludzkości. Niema ludzkości bez narodu, niema jej nad narodami. Ludzkość jest i będzie żywą organizacją wszystkich narodów i państw. I dlatego czynna miłość dla swego narodu jest zasadą ludzkości".

Rozjechały się rzesze skautów słowiańskich do swoich krajów z uczuciem wzajemnego braterstwa, ze wzmocnionem poczuciem własnej mocy i zdolności kształtowania nowej przyszłości narodów słowiańskich, dziś nie zawsze żyjących ze sobą w sąsiedzkiej zgodzie. Myśl rzucona, że moglibyśmy nie obawiać się najazdu germańskiego barbarzyństwa, gdybyśmy zespolili wszystkie wysiłki, niewątpliwie rozwijać się będzie w sercach młodzieży skautowej słowiańskich narodów. Każdy uczestnik obozów słowiańskich w Pradze będzie takiej myśli heroldem.

Ten fakt nabiera w obecnej chwili osobliwego znaczenia. Każdy dzień przekonywa nas coraz mocniej o potrzebie konsolidowania się krajów słowiańskich środkowej Europy, gdyż niebawem świat przybierze inne oblicze.

Oby młode pokolenie skautowe, które niebawem wejdzie w życie społeczne i polityczne umiało w myśl zasad skautowych osiągnąć porozumienie ludów słowiańskich. Oby ideje, zasiane w czasie obozów słowiańskich — przyniosły plony jaknajobfitsze!

Lwów F. M.

MEGALOMANJA GERMAŃSKA

W NR. 33 „Myśli Narodowej" pojawił się artykuł, napisany wytrawnem piórem p. Stanisława Kozickiego. Treścią tego artykułu są uwagi z powodu książki Alfreda Rosenberga: *„Der Mythus des 20 Jahrhunderts"*.

Autor tej książki, przesiąknięty do szpiku kości ultranacjonalizmem niemieckim, dochodzi do przekonania, że: „dziś budzi się nowa wiara — mit krwi, wiara w konieczność obrony, ofiara krwi, boskiej istoty człowieka; wiara, złączona z jasną wiedzą, że krew nordyczna (nasze podkreślenie) jest tem misterjum, które zastąpi i przezwycięży dawne sakramenty".

Zdanie powyższe, dosłownie cytowane, jest ze stanowiska religij chrześcijańskich wprost bluźnierstwem, a ze stanowiska ogólno-ludzkiego takim objawem germańskiej megalomanji, jakiego się jeszcze zaiste nie spotykało. P. St. Kozicki słusznie też twierdzi, że dominującym czynnikiem w duszy Niemców nie jest zmysł organizacyjny, filozoficzny, badań naukowych i zmysł trzeźwości politycznej, ale o ile ci obdarzeni tym zmysłem nie byli jedynie zdolnymi klasyfikatorami i rzemieślnikami lub technikami, zabiegającymi jedynie o zysk i powodzenie doraźne, to dominującym czynnikiem w ich duszy jest ów mistycyzm, który usiłuje określić i wyjaśnić p. Alfred Rosenberg, a któremu daje wyraz i organizację najbardziej typową Adolf Hitler. Słusznie też zauważył p. St. Kozicki, że napotykamy tu dziedzinę, w której leży cała trudność i całe niebezpieczeństwo problemu niemieckiego. Sprobujmy chociaż cokolwiek temu niebezpieczeństwu czoło postawić.

Jeszcze ciekawszą, pod względem niemieckiej psychozy nacjonalistycznej, jest książka niejakiego Franza v. Wendrina, p. t.: *„Die Endtdeckung des Paradieses"*, wydana w r. 1924-ym w Brunszwigu, w której autor ni mniej, ni więcej, tylko twierdzi, że raj biblijny nie leżał wcale w Mezopotamji, ale... w Meklemburgji, mianowicie w okolicy między Wartą (biblijny Frat), Odrą i Peną (b. Peene), przyczem uznaje nazwę *„paradisos"* za słowo czysto starogermańskie. Dalej dowiadujemy się, że ze związków przeciw naturze (sodomja) bogów rajskich (t. j. Germanów) z małpoludami powstały wszystkie niższe rasy ludzkie, niegermańskie.

Niezajmujmy się jednak więcej temi bredniami, ale stwierdźmy tylko, że dusza niemiecka dziś jest poważnie chora, jeżeli wydaje autorów podobnych elukubracji w Niemczech bynajmniej nie

wydrwiwanych, ale przeciwnie chwalonych i całkiem poważnie traktowanych.

O cóż tu głównie chodzi? Otóż Niemcy pragną przed światem udowodnić, że hasło „*Deutschland über Alles*“*!* nie jest tylko czczem powiedzeniem, ale że może ono być naukowo udowodnionem. Zwłaszcza ów Rosenberg chciałby uzasadnić niby naturalną supremację rasy nordycznej, do której i Niemcy należą, ponad innemi rasami, obecnie narodowościami, rzekomo niższemi. Wywodzi on zatem Niemców z rasy ludzkiej północnej, do których zalicza łaskawie także i anglosasów, norwegów, szwedów, duńczyków i holendrów, ale, rzecz prosta, najwyżej stoją tu germanie, zatem niemcy. Przeciwstawiać rasie nordycznej rasę południową, czyli śródziemnomorską, t. j. obecnych włochów, francuzów i hiszpanów, jakąś niemożna i nie wypada, gdyż kto wie jakby ostatecznie wyszli na tem porównianiu sami niemcy, ale zato wydaje się niemcom, że można sobie śmiało tego porównywania pozwolić wobec słowian, i tu właśnie uwidacznia się tendencja do zobrazowania całemu światu wyższości Germanów nad Słowianami, zatem polakami, czechosłowakami i jugosłowianami i t. p. Tu chwilowa siła fizyczna (militarna), istotnie imponujący rozwój nauk i przemysłu, dość silnie odbija od położenia Słowian wyżej wymienionych, którzy dopiero od bardzo stosunkowo niedawna, znaleźli się w możności gospodarowania prawdziwie u siebie Ale ani taki przemysł i rolnictwo czeskosłowackie, ani stopień nauki, sztuki i literatury polskiej, na których to polach posiadamy jednostki o sławie ogólnoświatowej, nie uprawniają do najmniejszej wątpliwości, że narody słowiańskie, pozostawione w spokoju przez czas dłuższy, w niczem nie ustąpią tym dziś tak chełpliwym Germanom.

Ale ponieważ niemcy sięgnęli do motywów ciężkonaukowych i pragną w ten sposób „naukowo“ uzasadnić swoje pretensje do ziem polskich i przewodniczenia nad nami, więc dobrze będzie również sięgnąć do tego samego arsenału broni, i przynajmniej co do nas, Polaków, wykazać im nieuctwo na punkcie antropologji ogólnoświatowej.

Mam tu np. przed sobą studjum p. Stanisława Studenckiego: „O typie psycho-fizycznym Polaka“ (Poznań — r. 1931). Dzieło to, wydane nakładem poznańskiego Tow. Psychologicznego, stwierdza istnienie wśród Polaków trzech głównych typów fizycznych, mianowicie: typ prasłowiański, tym sarmacki i typ... n o r d y c z n y, ten sam, którym się niemcy tak szczycą. Autor znajduje pomiędzy każdym z tych typów fizycznych a usposobieniem duchowem naogół pewną korelację, ale w razie braku tejże, ma się ujawniać pewna degeneracja konstytucji kośćca. I tak: im korelacja jest ściślejsza, tem konstytucja kośćca jest klasyczniejsza i odwrotnie. Ze wszystkich usposobień i charakterów tych trzech typów, usposobienie typu nordycznego ma być najbardziej dodatnie. Ma być to rodzaj ludzi najbardziej ruchowo opanowanych, depresyjny, zamknięty w sobie o zwężonej świadomości, stały w uczuciach, rozważny, uczuciowo opanowany, zimny, nietowarzyski, konserwatywny, melancholijny i wykazujący mało fantazji. Dwa inne typy to antyteza typu nordycznego, każdy w innym rodzaju, których tu bliżej nie będziemy charakteryzowali. Typ nordyczny ma przedewszystkiem zamieszkiwać zwarcie: Pomorze, Wielkopolskę i okolice nadniemeńskie, ale, podług Studenckiego, t y p t e n s t a n o w i p r z e w a ż n ą p r z y m i e s z k ę u l u d n o ś c i p o l s k i e j p o c a ł e m n a s z e m t e r y t o r j u m, zwłaszcza, podług Studenckiego, w niższych warstwach społecznych. Inne typy, jakoto: presłowiański i sarmacki są w Polsce w mniejszości.

Do podobnych wyników dochodzi nasz znakomity antropolog, twórca polskiej matematycznej statystyki antropologicznej, profesor uniw. lwowskiego Jan Czekanowski. Otóż uczony ten w swym odczycie, wygłoszonym dn. 2/IV 1930 r. we Lwowie, na temat: „Podstawy rasowe Polski“ twierdzi, że na terenie Polski zetknęła się rasa północnoeuropejska (nordyczna) z śródziemnomorską i innemi. Przechodząc do dziejów dawnej historji polskiej, dzieli Czekanowski społeczeństwo polskie na dwie główne warstwy, a mianowicie: jedną więcej, drugą mniej czynną. W rozwoju historycznym Polski najbajdziej czynny udział brała warstwa szlachecka; — najbardziej bierny — warstwa chłopska. Otóż wielce jest ciekawem, że ścisłe badania antropologiczne Czekanowskiego wskazują w warstwie szlacheckiej na istnienie typu n o r d y c z n e g o.

Jest to nieco odmienne przekonanie niż Studenckiego, ale z dalszych naszych wywodów znajduje ono tu poniekąd pewne wyjaśnienie. Otóż nowsze czasy przyniosły inne, niekiedy coprawda pozorne. uwarstwowanie się w narodzie, które znosi dawniejsze granice selekcji. Przez to większe skrzyżowanie dawnych typów miejscowych tworzy się nowa warstwa, decydująca dziś niewątpliwie o losach narodu i kraju, warstwa inteligencji. I oto stwierdza nasz uczony, że typ rasowy, nowego inteligenta polskiego zbliża się zasadniczo do typu nordycznego, zatem, d a w n e g o s z l a c h e c k i e g o. Dzisiejsza nauka „mendelizmu" tłomaczy to t. zw. „prewaluacją" jednego typu nad drugim, zatem znaczy to, że w społeczeństwie polskiem zaczyna przeważać typ ten, który charakteryzował dawną szlachtę polską. Mamy tu na myśli, rzecz prosta, owych dawnych, Kazimierzowskich „ojczyców", owych: Zadorów, Grzymałów, Nałęczów, Korabitów i t. p., którzy jedynie zbiorowo, po głębokim namyśle, często długo myśląc i dumając, wydawali spokojnie swe niezłomne już potem opinje. Że byli to przeważnie ziemianie ziemi krakowskiej o tem wiemy dobrze z historji i z takich np. powieści historycznych Kraszewskiego, a że wtedy opozycyjność stała głównie po stronie ziemian Wielkopolskich, że wymienimy chociażby osławionego Maćka Borkowicza, a podług Studenckiego „opozycyjność“ ma więcej charakteryzować typ presłowiański lub sarmacki, więc widocznem jest, że w czasach zamierzchłych, sądząc po samym charakterze polaków, typ nordyczny już wtedy był rozpowszechniony nietylko w dzielnicach zaznaczonych przez Studenckiego, ale i w innych częściach Polski centralnej.

Ciekawem jest, że i w warstwach najniższych społecznie i politycznie najsłabszych, np. w warstwach chłopów wschodnio-małopolskich, utrzymuje się zupełnie typ pierwotny, typ rasowy czerni Chmielnickiego, czego dowodem są badania „mogiły kozackiej“ pod Lwowem.

Jednem słowem, chociaż taki G. K. Chesterton, w swem: „Zmartwychwstaniu Rzymu“ ma wiele racji, miażdżąc butę teutońską i demaskując brutalność, skąpstwo, sztywność, jednem słowem brak wszelkiej „*gentleman*'erji" u niemców, w przeciwstawieniu do również typu nordycznego Anglików,

ale nie można się zgodzić na to, żeby powoływanie się na pra-rasę, jednak bez pobudek zaborczych, jak przeciwnie u Niemców, miało być wogóle bakalarską bajką o rasie. Tylko, że np. Polacy, jak widzieliśmy z badań naszych uczonych, oparci przeważnie w swej warstwie inteligencji na rasie nordycznej, nie potrzebują się wywodzić od Polaków, ale tak jedni jak i drudzy mogą pochodzić, w przeważnej swej części, od rasy nordycznej, kiedyś, w czasach przedhistorycznych opanowującej środkowo-europejskie kraje i więcej południowe. Już i Chesterton twierdzi, że Polak jest najmniej Słowianinem ze Słowian, a w każdym razie jest ze Słowian najmniej pan-słowiańskim. Jest on patrjotą według wzoru zachodniego, t. j. więcej dba o narodowość, niż o rasę, z której pochodzi.

Dziś jednak Niemcy, opierając się na rzekomo naukowej podstawie, t. j. na ich pochodzeniu od rasy nordycznej, dobrze jednak już skrzyżowanej z łużyczanami, prusakami, litwinami, łotyszami, kaszubami, słowianami z Rugji i z nad Łaby i t. p., pragną ukuć broń przeciw polskiej, jakoby niższej rasie, gdyż niby czysto presłowiańskiej; należy ich trochę oblać zimną wodą i stwierdzić nasz rodowód. Widocznem jest, że Niemcy, w swej megalomanji, znają tylko, i to dość słabo, własną, niemiecką antropologię, ale nie interesują się wcale polską, boby ta ich oświeciła, że wysławiając typ rasy nordycznej, podnoszą w oczach świata nas gdyż właśnie u nas, Polaków, ten typ północny jako silnie w zamierzchłych czasach obsadzony i przez szlachtę staropolską najwięcej na rozwój Polski wpływający, dziś, jako typ prewalentny, po opadnięciu granic selekcji, przeważa w typie polskiego inteligenta.

Jeżeli zatem rzekoma wyższość typu nordycznego miałaby być pretekstem dla Niemców do przypisywania sobie różnych praw do narodowości innych typów, to prawo to upada zupełnie wobec Polaków, jako przeważnie, w swej głównej decydującej masie pochodząaych z tego samego pnia co i Niemcy. Byłoby dobrze, żeby sobie Niemcy to doskonale uświadomili i porzucili swą metodę genetyczną do uprawniania niezdrowych apetytów.

JERZY RYX

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prześliczna „Warszawa“ Stefana Godlewskiego spotkała się z jednomyślnem uznaniem krytyki. Ostatnio, równie pochlebnie jak A. G. Siedlecki napisał o niej w „Kurjerze Poznańskim“ J. E. Skiwski. Ze świata literackiego dochodzą głosy pełne podziwu dla kunsztu artystycznego, z jakim to pierwsza prawdziwa poetycka legenda o Warszawie, została wykończona. Książka Godlewskiego cieszy się wielką poczytnością. (P.)

*

Prof. Ignacy Chrzanowski ogłosił w „Gazecie Warszawskiej“ (Nr. 268). Uwagi o drugim tomie znakomitego dzieła Marjana Seydy „Polska na przełomie dziejów“. Czytamy tam:

„Pomijając doskonały, przejrzysty układ oraz jasne potoczyste, przykuwające uwagę czytelnika opowiadanie o faktach najwyższej dla nas wagi, bo rozstrzygających o odbudowaniu Polski,—umiał Seyda zdobyć się na chwalebną, idealną niemal bezstronność, co zasługuje na tem większe uznanie, że w wielu wypadkach, których historję opowiada, sam brał czynny udział: był wszak współpracownikiem Dmowskiego. Ta zaś bezstronność tłumaczy się nietylko uczciwością i powagą autora, ale także głównym celem, jaki sobie, pisząc swoją książkę, wytknął: chciał dać czytelnikom nie pamflet polityczny, tylko historję. I ten cel spełnił znakomicie: książka jest — od początku do końca — szczegółową historją sprawy polskiej podczas wielkiej wojny.

„Przeciw prawdzie rozum nic“: takie motto umieścił autor pierwszej po polsku napisanej historji powszechnej, Marcin Bielski, na karcie tytułowej swojej „Kroniki Świata“. To znaczy: tego, co jest prawdą, faktem, żaden rozum ani żadna namiętność nie obali. Ileż razy przychodzą człowiekowi na myśl te piękne i mądre słowa — dzisiaj właśnie, po wojnie, kiedy czyta różne wspomnienia i pamiętniki, a nadewszystko różnego rodzaju poprawki historyczne, usiłujące obalić fakty i prawdę.

Książka Seydy, cała — od początku do końca — oparta na udokumentowanych faktach, znakomicie utrudnia tę procedurę i prędzej czy później, uniemożliwi ją: prawda zatriumfuje!“

*

Zeszłoroczny jubileusz Kochanowskiego odbił się szerokiem echem nietylko u nas w kraju, ale i zagranicą. Prócz cennych prac polskich o poecie czarnoleskim pojawiło się wiele artykułów i szkiców, pisanych w obcych językach przez cudzoziemców; całą ich wiązankę dał m. in. „Ruch Literacki“. Ale najpiękniejszą pamiątką, ofiarowaną poecie w roku jubileuszowym przez cudzoziemca, jest niewątpliwie książeczka, pięknie wydana przez firmę paryską Firmin-Didot & Cie, ozdobiona drzeworytem Franciszka Prochaski, a nosząca tytuł *„Jean Kochanowski, Choix de poémes, suivi du Renvoi des ambassadeurs Grecs“*. Przekładu wybranych utworów lirycznych Kochanowskiego i „Odprawy posłów“ dokonał wybitny poeta i lingwista, rodem z Burgundji, Andre Mary. Aczkolwiek rytmika Kochanowskiego budowana jest na tych samych zasadach, co rytmika francuska (wiersz sylabiczny, rymowany najczęściej parzyście, dominująca przewaga aleksandrynu), jednakże tłumacz wolał posłużyć się mową niewiązaną — szkoda wielka, gdyż wstępna *„Ode a Jean Kochanowski, père de la poésie polonaise“*, pełna wielkiego polotu, wskazuje jak świetnie p. Mary włada wierszem. W przypisku do tej ody znajduje się błędna informacja, jakoby J. Kochanowski był *„le premier poete polonais qui ait laissé le latin pour la langue de sa nation“*. Ależ przed Kochanowskim już Rej głosił, że „Polacy nie gęsi, że swój język mają“, a w średniowieczu też nie brakło poetów piszących po polsku, niekiedy nawet natchnionych, jak autor „Pieśni o świętym Duchu“ lub nieznany z nazwiska twórca „Skargi Matki Boskiej“. Przekłady są piękne, jednakże miejscami zbyt gładkie, wobec czego często zatraca się w nich barwność i plastyczność oryginału; zupełnie blado wypadł przekład niezrównanej fraszki o doktorze Hiszpanie, gdzie tłumacz albo nie zrozumiał albo nie potrafił odtworzyć przepysznej gry słów, dwuznaczników, a nadewszystko tego, co jest duszą fraszki — humoru. (J. B.)

*

Brazylja — jeden z głównych terenów polskiej ekspansji emigracyjnej — zdawna już służyła za tło i temat polskim autorom. Pierwszeństwo należy się Dygasińskiemu, jako autorowi goryczą przepojonej powieści „Na złamanie karku“. Śladem Dygasińskiego, czasem przejmując od niego pomysły, poszła Konopnicka, tworząc „Balcera w Brazylji“. Po wojnie (w czasie której strofy końcowe „Balcera“ nabrały szczególnej aktualności) Brazylja stała się dla Polaków nietylko terenem kolonizacyjnym, ale i celem różnych eskapad podróżniczych; stąd to wyszły (nie mówiąc o płytkiej książce Słonimskiego, świadczącej, że można gdzieś jechać po to, by nic nie zobaczyć) książki Lepeckiego i Zaniewickiego, nierównej jeszcze wartości; interesujący zbiór listów brazylijskich ks. Posadzego, drukujących się w „Kurjerze Poznańskim“, powinien rychło ukazać się w edycji książkowej. Obecnie powitać należy z radością powieść Jerzego Ostrowskiego, osnutą na stosunkach brazylijskich, a noszącą tytuł „Cathangara“ (nakł. księg. św. Wojciecha). Autor nie zajmował się tu kolonistami polskimi (ubocznie tylko wspomniany jest ksiądz Polak, który był dostarczycielem wątku powieści) — za tło powieściowe obrał stan Santa Catharina, kolonizowany przeważnie przez Niemców, panoszących się często ponad miarę, a okrutnych w stosunku do ludności tubylczej. Botokudzi i inne plemiona indjańskie, drażnieni przez kolonistów, nieraz urządzają przeciw nim wyprawy, kończące się krwawo, jednakże nie mają szans zwycięstwa. Zmianę losu przynoszą im dopiero rządy „Cathangary“, („czarnej pantery“) — bo taki przydomek otrzymał u nich metys Eduardo Hoerhann de Silva, który po wielu perypetjach został ich królem. Był on synem Indjanki, drugiej żony prefekta miejskiego, Niemca Hoerhanna. Ponieważ bogaci koloniści miewają po dwie żony — jedną „cywilną“, drugą „kościelną“, więc i stary Hoerhann pozwala sobie na taki zbytek, a z każdą ma syna; synowie ci, jak i ich matki, czują do siebie jawną niechęć, podsycaną i przez to, że ojciec okazuje szczególne względy starszemu synowi, lizusowi, elegan-

towi i dyplomacie Marianowi — młodszy, ów Eduardo, człowiek prosty i szczery, idzie ze strzelcem do lasu... Jest to więc coś, jakby wątek „Zbójców“ Schillera — na dziko. Niemniej powieść cała jest zupełnie oryginalna — zwłaszcza, że wzięta ze zdarzeń prawdziwych. Życiem prawdziwem drgają wszystkie postacie powieści, począwszy od Włocha karczmarza, w którego usta autor włożył całą opowieść, a skończywszy na typach dzikusów botokudzkich. Język barwny i dosadny; zrzadka dostrzec można usterki stylowe, zwłaszcza germanizmy. (J. B.)

*

O nowe tematy w powieści dziś już niezmiernie trudno. Talent autora i wartość powieści polega na ujęciu tematu, na powiązaniu nici powieści, na konsekwencji kreślenia charakterów, na nowem, oryginalnem, ciekawem i emocjonującem przeprowadzeniu tematu.

Karin Michaelis jest autorką o wybitnym talencie powieściopisarskim. Wszelkie zalety rzetelnego talentu przejawiają się w powieści: Pan i Dziewczyna, (właśnie wydanej przez Wyd. Gutenberga w Krakowie). Niezwykle subtelnie i ciekawie przedstawiła autorka dzieje prostej dziewczyny Flory, na którą spadła niespodzianie i wbrew jej sumieniu miłość kapitana Brandt'a człowieka żonatego i usytuowanego. Dotąd miała Flora jedną miłość: brata swego Helge, uczucie wybitnie macierzyńskie. To uczucie dominuje w niej. Miłość kapitana B. w którym szacunek dla żony, miłość do dzieci swych walczy z płomienną miłością dla tej prostej służącej, przyjmuje Flora jako fatum, jako coś nieuniknionego po długiej energicznej i wyczerpującej walce. Owocem tej miłości jest chłopczyk, którego Flora daje na wychowanie, a ukochanemu donosi, że dziecko przyszło na świat nieżywe, by uniknąć jakiejkolwiek pomocy pieniężnej ze strony kapitana. Na wsi, gdzie przebywała przed urodzeniem dziecka poznała Olinę, dziewczynę z gruntu złą, którą los nieubłagany umieszcza w tej samej służbie w której znajduje się Flora. Olina kradnie a podejrzenia skierowuje zręcznie na Florę, która się bronić nie umie. W szybkim tempie walą się teraz na Florę nieszczęścia. Kapitan, którego ustawiczna walka obowiązku z miłością wyczerpała i wyniszczyła umiera niemal w ramionach Flory, w decydującym jednak momencie odpycha ją prawowita małżonka kapitana. Brat zapiera się jej w przykrych okolicznościach, wreszcie dowiaduje się Flora, że jej dziecko jest źle traktowane. By chłopcu zapewnić przyzwoite wychowanie kradnie tym razem naprawdę, uprzedza o tem swoich chlebodawców i popełnia samobójstwo w pełnem przeświadczeniu, że postąpiła jak należało.

Temat przypomina trochę Zolę, trochę Goncourtów, trochę Maupassanta a jednak ujęty jest zupełnie inaczej. — W Florze stworzyła autorka postać, której się nie prędko zapomni i choć wyidealizowaną — jakże prawdziwą. „Pan i dziewczyna“ to hymn życia uczciwego, sumiennego i mimo zakończenia niechrześcijańskiego, hymn życia bogobojnego. (A. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Znany pisarz francuski, Daniel Halévy, który od niejakiego czasu zajął się historją „Trzeciej Rzeczypospolitej“, wydał ostatnio książkę p. t. „*Decadence de la liberte*“ („Upadek Wolności“), w której stwierdza upadek wolności w życiu Francji współczesnej. Po kilkudziesięciu latach rządów parlamentarnych, wytworzyły się we Francji warunki, polityczne i społeczne, sprzyjające tyranji. Klasy liberalne — powiada autor — upadają pociągając za sobą instytucje przez siebie stworzone, wielki przemysł skupia masy zaprawiając je do posłuszeństwa przez dyscyplinę pracy: oto gdy chodzi o siły. Co zaś do narzędzi tyranji, to temi są: praca, która sama się poddała. oraz radio i kinematograf, niezrównane środki panowania nad istotami ludzkiemi. Ale gdzie jest tyran? Czy Francja ma swego dyktatora — zapytuje autor? Zarysem jego, jeśli nie wizerunkiem, jest prezes Rady Ministrów *(Président du Conseil)*. „Rola jego — powiada Halévy — w naszej konstytucji realnej jest kapitalna, w naszej zaś konstytucji pisanej miejsce jego nie jest nawet zaznaczone. Prezesem legalnym rady jest prezydent Rzeczypospolitej. Praktyka wszakże prędko wykazała, że wszelka władza *régime'u* przypada temu, który co dnia staje wobec Parlamentu, i „pierwszy minister“, początków naszej Rzeczypospolitej, stał się Prezesem Rady, którego osoba nie przestaje zwiększać się“. Na taki stan rzeczy, autor znajduje pociechę w tem, że „instynkty wolnościowe“ narodu francuskiego występują przeciw siłom zagrażającym wolności, przeciwstawiają jedne drugim, przeszkadzają w tworzeniu się tej psychozy, która jest duszą tyranji. Autor jest, pomimo wszystko, dobrej myśli i twierdzi, że we Francji „swobody nie umarły tylko chorują“... (W. J.)

*

Przed kilku miesiącami opublikowano w Niemczech poufną Korespondencję Wilhelma II z Kanclerzem Bülowem, która świeżo została wydana w przekładzie francuskim. („*Correspondance secrète de Bülow et de Guillaume II*“. Wstęp M. Muret'a wydawnictwo B. Grasset'a). Jest to bardzo ważny przyczynek do historji wielkiej wojny. Z korespondencji tej okazuje się, że na kilkanaście lat przed wojną, cesarz Niemiec i jego Kanclerz byli zdania iż najście Belgji jest koniecznością. Fakt ten rzuca światło na fałszywość Bülowa, który w „pamiętnikach“ swoich usiłuje świat przekonać, że gdyby on był u władzy w momencie krytycznym, nigdyby do wojny powszechnej nie doszło. (W. J.)

NA MARGINESIE

Redaktor „Czasu“ prof. St. Estreicher ogłosił w swem piśmie recenzję książki R. Dmowskiego. Nie szczędzi autorowi nagany z powodu jego płytkości, zaślepienia, pesymizmu, lekkomyślności sądów, nieznajomości Rosji i t. d. Zwłaszcza w poglądzie na politykę polską w stosunku do Rosji i sprawy ukraińskiej p. Estreicher zupełnie się różni, przeciwstawiając Dmowskiemu „znakomite“ dzieło J. Kucharzewskiego, tak „świetnie uświadamiające“...

Dmowski nie ma szczęścia do p. Estreichera. W czasie wojny nie zgadzali się z sobą w poglądach na Austrję. Kiedy p. Estreicher zupełnie zdawał Polskę na losy Austrji, Dmowski utrzymywał, że Austrja po wojnie się rozleci. Ile się to pisało wtedy o płytkości, lekkomyślności i zaślepieniu Dmowskiego!

Bardzo się stańczycy gniewają na Dmowskiego, ile że w książce „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce“ na parę lat przed wojną przepowiedział im żałosny los rezydenta u radykałów. P. Estreicher uśmiecha się na doktoraty Dmowskiego w Cambridge i w Poznaniu: Kraków wiedział komu dać doktorat honorowy prawa. Nie brał nawet do ręki dzieła „Polityka polska i odbudowanie państwa“, w którem Dmowski legitymuje się z tytułów swoich do doktoratu z polityki polskiej.

P. Estreicher nigdy mu nie daruje tej... Austrji.

*

Mesjanizm w „Polsce Zbrojnej“.

Dziennik ten z powodu śmierci śp. Hołówki pisze jakby na marginesie naszej „Na widowni“:

„Idea Tadeusza Hołówki nie ograniczała się tylko do organizowania braterskiego współżycia narodów, zamieszkujących nasze ziemie. Myślał on o ujarzmionych w Rosji sowieckiej narodach, dla których pragnął wolności, jak dla własnej Ojczyzny, którą wywalczał, czy jako żołnierz, czy emisarjusz P. O. W., na wielkie niebezpieczeństwa wydany. Naszych dawnych i szczytnych haseł: „wolni z wolnymi— równi z równymi“ był szermierzem, a misji dziejowej Rzeczypospolitej — niesienia kultury na wschód — wykonawcą“.

*

Krótka pamięć:

„Gazeta Polska“ z powodu zabójstwa śp. Hołówki wykrzykuje:

„Zbrodnia! Czasy nasze nie znają zbrodni równie straszliwej, równie potwornej, równie niezrozumiałej“.

DLA BIBLJOFILÓW

W administracji naszego pisma (Jerozolimska 17) złożono do sprzedania skompletowane roczniki „Myśli Narodowej“:

za rok 1926 tom I i II
„ 1929 tom II
„ 1930 tom I i II
„ 1931 tom I

Cena każdego tomu zł. 12.

Ktoby posiadał luźne n-ry 3 i 9 „Myśli Narodowej“ z r. 1925 (pod dzisiejszą redakcją) raczy je przysłać do redakcji naszej (Marszałkowska 153).

Redakcja rozporządza pewną ilością luźnych numerów z 1925—1931 i chętnie, w miarę możności, dostarczy je kolekcjonerom.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.